

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 3. Warszawa, dnia 8 (20) Stycznia 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie. . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie. . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.
	w Galicyi Złr. 11 cent. 50.
	w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, Št.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

PISMA PROWINCYONALNE.

— A co też pan sądzi o obecnym podziale kraju na dziesięć guberni i powiatów? Jakie pożytki przedstawia nam taki stan rzeczy — pytał w dalszym ciągu rozmowy jegomość chudy, łysy, w okularach, pana dobrej tuszy, z wąsami i orlim wzrokiem; a rzecz się działa na zebraniu u pp. N. N.

— Co ja sądzę? Jakie pożytki?... z niepewnym uśmiechem i wzruszeniem ramion odparł pytany. Jakie pożytki—pytasz pan.... Przyznam się, że nigdy nie zadawałem sobie tak osobliwego pytania.... Jakie pożytki? Chyba ten, że więcej ludzi ma chleb na urzędowaniach... że z podatkiem lub czemś podobnem nie potrzebuję daleko jechać...

Jegomość w okularach jak sfinks patrzał na zapytanego, dając mu czas do namysłu, a sobie do niewesołych jakichś refleksyj, wreszcie rzekł patrząc z nad okularów.

— Tak to u nas bywa we wszystkiem, łaskawy panie; najtrudniej nam poznać to co nas najbliżej dotycze. Gdy raz uwikłamy swe myśli w oderwanych widokach lub w dalekich wspomnieniach, to już ani sposób zwrócić uwagę naszę na otaczający nas widnokrąg. Może dla tego, że bierna apatya milszą nam jest od czynu....

Przepraszam za ostre słowa... przecież ich pan do siebie brać niepotrzebuje...

— A tak, tak, masz pan racyę, z roztargnieniem powiedział pan dobrej tuszy i bez okularów, bo właśnie w drugi koniec pokoju wniesiono stolik zielony, a uprzejmy gospodarz zbliżył się z zaproszeniem do rozmawiających gości.

Na tem skończyła się rozmowa i jako wychodząca po za obręb porządku dziennego, musiała ustąpić miejsca bardziej żywotnym sprawom. Na zebraniu było kilku panów bardzo poważnych. Każdy z nich zajmował odpowiedzialne stanowisko społeczne, uczył się niegdyś czegoś, każdy miał pretensyę do wyrobionych opinij o rzeczach, do obszernego zakresu pojęć; był jeśli nie głową to przynajmniej ważnym członkiem rodziny i luminarzem pewnego towarzyskiego koła, to też ci poważni panowie z wielką pewnością siebie i znajomością rzeczy, usiedli kołem przy stoliku, wzięli do rąk karty i zaczęli się bawić bardzo grzecznie.

Nie wiem czy będzie mi darowany mój nietaktowny postępek, z którego zaraz się wyspowiadam.

Postanowiłem podnieść upadłą rozmowę i przesadzić ją na inny grunt. Z tą myślą przeszedłem do drugiego pokoju, gdzie grono pań bawiło się zachwycającym szczebiotem. Rozmawiano o literaturze i nie bez surowej krytyki oceniano świeżo przeczytane... powieści. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, pomyślałem, nie trudno mi będzie naprowadzić rozmowę na kłębek upuszczony przez łysego jegomościa.

Od powieści do pism peryodycznych przeskok niewielki. Gdyśmy już spotrzebowali znaczną ilość lekkiej ironii przy traktowaniu naszych warszawskich karmicieli duchowych, pomyślałem: „dalejże, tylko śmiało, mości dobrodzieju“ i rzekłem z nienacka...

— A nasze prowincyonalne pisemko? Jakże je ocenzurujemy?...

— Ach prawda, zawołała czytelniczka pism francuskich, prawda, podobno tu gdzieś nie pamiętam w którem miasteczku, wychodzi jakieś pisemko... co za śmieszna mańja i zarozumiałość...

— Chciałabym też widzieć ten „organ“ prasy, ze śmiechem zawołała inna dama.

— Mogę ci zrobić tę przyjemność, odparła gospodyni domu. Wystaw sobie, mój mąż trzyma to pisemko „dla facecyi“ jak powiada w sekrecie, a dla wspierania literatury, jak głosi w kole statystów.

— Literatury! odezwały się inne głosy, dopieroż to musi być literatura!

— Widziałam gdzieś ten szpargał, inna dama dodała. Więc to o tem „piśmie prowincyonalnem“ pan chce zasięgać naszego zdania?

— Tak jest, ale jak widzę panie nie zadały sobie trudu poznać je bliżej. Więc niechże wiem przynajmniej czego panie spodziewać się mogą od prowincyonalnego pisma?

— Czego? Popisów domorosłych literatów, elukubracyj i śmiesznego naśladownictwa, odpowiedziała młoda obywatelka, i zaraz z dowcipną minką szepnęła swej sąsiadce: podobno nasza pani X. ma wydawać *Journal* mód prowincyonalny!

— Wybornie! ona ma tyle gustu, zawołał ktoś z grona i kaskada srebrnego śmiechu przez chwilę nie dała mi przyjść do słowa.

— Chciejmy się porozumieć co do zasady zapatrywania się na organa prasy peryodycznej, wołałem niepomny, iż prąd myśli towarzystwa w inną zupełnie stronę skierował się już. Chciejmy rozróżnić pisma poświęcone literaturze, nauce, zabawie, lub sprawom ogólnego znaczenia, sprawom społecznym, a zarazem zechciejmy poznać jaką rolę względem

nas i względem pism powszechnych zajmują te skromne prowincyonalne pisemka, służące interesom okolic swoich i wszystkiemu co z ich indywidualnem życiem ma związek. Wierzę, iż wiele interesu przedstawia jedna, druga i trzecia powieść pomieszczona w piśmie warszawskiem, że sprawy Europy nie powinny nam być obce, że interesować nas mogą, a mody paryskie są palącą kwestyą żywotną; nie przeczę, że teatr warszawski i jego artyści mają pewne prawa do naszego zajęcia, ale czyliż to wszystko ma nam już zamknąć oczy na najbliżej nas dotyczące sprawy miejscowe, wśród których żyjemy, na środki polepszenia naszego bytu pod każdym względem i wszelkie rzeczy wielkiej wagi choć niepokaźne z pozoru?...

Od jakiegoś już czasu czułem, że mię ktoś pociąga za rękaw.

— Panie Bonifacy, przestańże pan ze swemi morałami, donkiszoterya jak mamę kocham, szepnęła nieznacznie gospodyni domu...

Zbity z toru zamilkłem.

— Jaka to szkoda, że pan nie jest w Paryżu! odezwała się jedna z pań....

— A to dla czego?...

— Mógłby pan w parlamencie zużytkować swój zapał i wymowę.

— Niechże się pan tylko nie obraża, dodała inna, z bardzo miłym uśmiechem. Przyznaj pan sam, że to wszystko co słyszeliśmy jest straszliwie nudne!

— A na pocieszenie przyznajemy panu zupełną słuszność, i powtarzać będziemy, że pisma prowincyonalne są ważne, i bardzo ważne.

Położenie moje nie było godne zazdrości! Tak to karanym bywa człowiek nietaktowny, któremu się zachciewa, chwile przeznaczone na *życie czynu* (choćby przy zielonym stoliku) obracać na wymianę myśli, lub żądać tej wymiany tam, gdzie ona jest niemożebną. Niechże przynajmniej nie będę za swą *pedanteryę* ukarany podobnie przez bezimienną osobę, którą nazywamy rozumnym czytelnikiem.

Tylko chwileczkę cierpliwości jeszcze.

Mamy już kilka pism prowincyonalnych, i co rok prawie pojawiają się nowe (niech im Bóg dopomaga!). Bezwątpienia powstały one z rozwijającego się u nas szerzej życia umysłowego i społecznego, lecz bezpośrednią przyczyną pojawienia się ich jest, utworzenie w ostatnich czasach większej ilości ognisk życia miejscowego w kraju, ognisk, choć z pozoru, tylko administracyjnych. Miasto gubernialne nie jest przecież tylko oderwaną siedzibą władz, w znaczeniu czysto urzędowem. Skupia ono w sobie znaczną ilość jednostek inteligentnych różnych powołań, staje się punktem środkowym rozlicznych interesów całej gubernii, koncentruje w sobie cały ruch danej okolicy i jej przedstawicielem się staje w rozmaitych względach. Im więcej znajduje się takich ognisk życia społecznego, skupiających w sobie ludzi, ich dążenia i interesa, tem silniej budzić się musi życie miejscowe, a nawet i życie całego społeczeństwa. Szeroki i rozpierzchnięty ogół nie może nigdy być przeniknięty ruchem i życiem, tak jak tenże ogół skupiony w pojedyńcze gromady świadome swego stanu i potrzeb.

Czemże jest pismo prowincyonalne jeżeli nie wyrazem życia jednego z tych ogniw społecznej budowy o jakich mówimy?

Cokolwiek dobrego dziać się może u nas, za sprawą naszych sił społecznych, wszystko powstawać może tylko jako wynik miejscowego życia, jako owoc zbiorowych usiłowań ludzi zbliżonych do siebie wspólnością potrzeb i warunków życia, wszystko rodzić się musi wewnątrz społecznej budowy, jako owe czyny „w swem kółku, jak każe duch Boży.“ Myśl czynów takich na miejscu tylko wyrasta, i opromieniona duchem dobra powszechnego, na miejscu kwitnie, dojrzewa i w czyny się wciela... Dla takich to spraw „domowych“ z wiedzą czy bezwiednie powstały nasze pisma prowincyonalne, powołane do bytu nie przez kaprys lub chęć naśladownictwa, lecz przez istotną potrzebę utworzenia pewnego, że tak powiem „forum,“ gdzie się schodzi wszystko co obchodzić może i powinno mieszkańca okolicy, gdzie zamieniają się fakta, spostrzeżenia, wiadomości, uwagi, projekta, rady dotyczące wszechstronnego miejscowego życia.

Powszechne pisma warszawskie nigdy nie mogą takim wymaganiom odpowiedzieć. Nie zagłębiając się w dalsze ogólniki, łatwo spostrzedz można, iż to co częstokroć jest sprawą pierwszej wagi w jakiej cząstce kraju, w innych stronach zaledwie zwraca uwagę, że szczegóły spraw miejscowych im bogatsze tem bardziej pocieszające, a wszędzie jednorodne, tylko na miejscu i wśród najbliżej interesowanych roztrząsane być mogą.

Pismo prowincyonalne to niejako sumienie okolicy, jej kronika, niezbędny pośrednik między członkami małego ogółu, świadomy stróż jego dobra i probierz rozwoju lokalnego życia. Ludzie odosobnieni, nie złączeni żadną myślą wspólną, krótkowidzący sobkowie niepotrzebują takich organów prasy, jako mechanicznie tylko zebrani członkowie towarzystwa, którzy nic sobie do powiedzenia nie mają, prócz bezbarwnych komunałów. Lekkomyślni tylko i ograniczeni ludzie lekceważyć sobie mogą ten tak ważny czynnik w społecznem życiu, zastępujący mnóstwo instytucyj, do których... jeszcześmy nie dorośli.

Nie zapuszczając się zbyt daleko w krainę ideałów pism prowincyonalnych, spojrzyjmy na ich stan obecny. Nie myślimy tu ich wartości szczegółowo oceniać, za doniosłość i jakość pisma odpowiada... okolica która je wydaje. Organ prowincyonalny, to nie pismo stołeczne posiadające mniej więcej stale ustanowione gremium redakcyjne i urzędowych współpracowników, literatów z profesyi. Tu każdy zdrowo myślący, przedsiębierczy, kochający dobro ogólne mieszkaniec miasta i okolicy, jest naturalnym współpracownikiem pisma, które nie jest areną popisów retorycznych i nie o palmę sztukmistrzostwa literackiego walczy bynajmniej... Siły redakcyjne prowincyonalnego pisma, to siły inteligencyi i dobrej woli mieszkańców okolicy. Czegóż więc wymagać można od pisma takiego, które bez poczuwania się ogółu do swych obowiązków, walczy jednostkowemi wysiłkami o... *marną egzystencyę?* Jak możemy z urągowiskiem lekkomyślnem patrzeć na usterki i ubóstwo treści pisemka, którebruma k moralnego poparcia, które jaką setkę zaledwie posiada prenumeratorów, nie żałujących kilku złotych *dla facecyi?* Pismo takie jest smutnym barometrem... umysłów waszych i serc szanowni obywatele okolicy!

Nie uniewinniamy tu redaktorów, nieumiejętnych, porywających się częstokroć nie na swoje rzeczy, wikłających się w plotki, drobiazgi lub otwierających w swych szpaltach szranki zaściankowej prywacie, lecz odpowiedzialności na nich zwalać nie pozwala nam sumienie. Widzieliśmy najzacniejsze wysiłki rozbijające się o niechęć i zapleśniały zastój ogółu. Wierzymy zaś mocno, że dobre chęci (jakich nigdy nie brak redaktorom narażającym się zawsze na pewne straty), przy poparciu okolicy i odpowiednich warunkach jej życia, zawsze pożądanym skutkiem będą uwieńczone. Zresztą rozwój pisma i rozwój okolicy zawsze idą w parze. Znamy dobrze historyę *protoplasty pism* naszych prowincyonalnych Lubelskiego Kuryera.

Mimo słabego nadzwyczaj poparcia ogółu pisma nasze prowincyonalne stają już przecie na stanowisku bardzo pięknem. Gdy czytamy ich szpaltki zapełnione żywotną treścią, podnoszone w nich projekta, sumienne sprawozdania, skrzętnie zebrane fakta, z których pełną dłonią czerpią pisma warszawskie; gdy patrzymy na zaciętą ich walkę z przeciwnościami, myślimy wtedy z błogą nadzieją o czasie, kiedy nasz ogół pojmie nareszcie ich ważność i wartość.

Na zakończenie tej przydługiej gawędki stawiam tezę będącą z nią w niejakim związku. Uczmy się obracać na nasz pożytek warunki bytu naszego, zużytkowywać środki leżące pod ręką, bo już dawno powinniśmy poznać, że pieczone gołąbki...

A. Mirski.

HISTORYA O PIĘKNYM PECOPIN I PIĘKNEJ BAULDOUR,

przez

Wiktora Hugo.

(Dalszy ciąg)

VI.

W którym pokazuje się że łakomstwo i diabłu nawet zaszkodzić może.

Kiedy to się wszystko działo diabeł, miał bardzo dziwną i nieprzyjemną awanturę.

Diabeł ma zwyczaj unosić dusze przez siebie zdobyte w koszyku, jak o tem można się przekonać na portyku katedry Friburskiej w Szwajcaryi, gdzie przedstawiono go ze świńskim łbem na karku, trzymającego w ręku haczyk, na plecach zaś unoszącego kosz, taki sam jakiego używają zwykle gałganiarze, a to dla tego, że diabeł szuka i zbiera dusze złych w stosach śmieci, jakie ród ludzki składa na krańcu prawd boskich i ludzkich. Diabeł dawniej nigdy nie przykrywał kosza, wiele zatem dusz wymykało się przy pomocy niebiańskich figlów aniołów. Spostrzegłszy się

jednak, sprawił sobie piękne przykrywadło z ogromną kłódką; ale duszyczki bardzo subtelne śmiały się z całego przykrywadła, i przy pomocy paluszków różowych aniołków, wysuwały się przez szpary w koszu. Zirytowało to diabła tak dalece, że zabił dromadera, i ze skóry z garbu ściągniętéj zrobił sobie worek z zamknięciem wynalazku demona Hermesa. Z worka tego cieszył się więcej, kiedy już napełnił go duszami, aniżeli student z sakiewki pełnéj złota. Nazbierawszy sporo dusz w krainach zamieszkałych przez pogan i niedowiarków, diabeł napełniał niemi swój worek nad brzegiem morza Czerwonego w górnym Egipcie. Miejsce to było zupełnie odosobnione i położone na ławie piaszczystej w bliskości gaiku palmowego między Coma, gdzie się urodził św. Antoni i Klizmy, gdzie umarł św. Sisoes. Pewnego dnia polowanie udało się diabłu lepiej niż zwykle, wesoło więc napełniał swój worek, kiedy nagle obejrzawszy się ujrzał w bliskości anioła patrzącego się nań z uśmiechem. Ruszył ramionami i dalej pchał w worek dusze razem z wszystkiemi brudami, ciesząc się że porządnie napełni dziś kocioł.

Skończywszy pakowanie, ujął jedną ręką worek, chcąc go władować na plecy; pomimo całych jednak wysileń, worka nie sposób było podnieść od ziemi, tak był wypełniony duszami a nadto wszystkie nieprawości które one popełniły, robiły je ciężkiemi. Powtórnie więc uchwycił ten piekielny ładunek obiema rękami; całe to jednak drugie wysilenie było równie bezowocne jak i pierwsze, worek nie drgnął jak gdyby to był szczyt skały wystający nad ziemię. „To ołowianne dusze“ zawołał. I zaczął kląć w najlepsze. Odwróciwszy się znów spostrzegł śmiejącego się anioła.

— Co ty tam robisz?.. zapytał szatan.

— Czyż niewidzisz?.. odrzekł anioł, przed chwilą uśmiechałem się a teraz wyśmiewam się z ciebie.

— A ty kurczaku niebieski, niewiniątko jakieś, ruszaj sobie precz. Ale anioł stał się poważnym i tak przemówił do szatana:

— Smoku, to co ci mówię, są to słowa tego, który jest Panem; nieuniesiesz do gehenny tego ładunku dusz, dopóki święty z nieba lub chrześcijanin spadający z obłoków nie pomoże ci wziąć go na plecy. Wyrzekłszy to anioł rozpuścił swoje orle skrzydła i wzleciał ku niebu. Diabłu się to wcale niepodobało.

—Co ten głupiec plecie, mruczał pod nosem, święty z nieba albo chrześcijanin z obłoków, musiałbym za długo czekać na takich pomocników. Bo też nie wiedzieć po co tak naładowałem wściekle torbę. A do tego ten latawiec który nie jest człowiekiem ani ptakiem, naśmiewał się jeszcze ze mnie. Nie ma co robić, trzeba czekać aż tu przyjdzie jakiś święty z raju albo chrześcijanin spadnie z obłoków. Co to za głupia historya, doprawdy że tam widać na górze nie mają nic lepszego do roboty.

Kiedy tak mówił sam do siebie, mieszkańcy Comy i Klizmy sądzili, że to grzmoty huczą na horyzoncie, a to diabeł mruczał.

Jeżeli furman ugrzęźnie w kałuży, klnie na czem świat stoi, i to sprawia mu pewną ulgę, wolałby jednak wyjechać z błota.

Biedny diabeł zachodził w głowę jak sobie poradzić. A jednak ten co skusił Ewę to figlarz bardzo zręczny.

Wszędzie się wciśnie. Kiedy zechce potrafi się wślizgnąć nawet w miłość, nawet wślizgnie się do raju.

Zachował on stosunki z świętym Cypryanem wielkim czarnoksiężnikiem, i umie w razie potrzeby być mile widzianym, nawet przez innych świętych, już to przez oddawanie im niewielkich tajemnych usług, już to przez mówienie pięknych słówek. Ten wielki mędrzec wie jaka rozmowa podoba się komu.

Każdego ujmuje za słabą stronę. Przynosi więc świętemu Robertowi z Yorku bułeczki owsiane z masłem. Z świętym Eliaszem rozmawia o jubilerstwie, a ze świętym Theodotem o kucharstwie. Świętemu Germanowi opowiada o królu Childebercie, a świętemu Wandhillowi o królu Dagobercie, świętemu zaś eunuchowi Usthasadowi o królu Saporze. Świętemu Pawłowi Prostaczkowi mówi o świętym Antonim, a świętemu Antoniemu o jego śwince.

Świętemu Lupusowi przypomina żonę Pimeniolę, a świętemu Gomerowi nigdy nie przypomni żony jego Gwiumaryi.

Diabeł jest wielkim pochlebcą. Serce z żółci a usta pełne miodu.

W tym samym czasie, czterech świętych którzy są znani z zażyłej przyjaźni jaka ich łączy, to jest: Święty Nil pustelnik, święty Inomnich, święty Jan Karzeł i święty Medard wyszli na przechadzkę nad brzegi morza Czerwonego.

Kiedy już rozmawiając zbliżyli się do lasu palmowego, diabeł spostrzegł ich zanim oni jego ujrzeli.

Natychmiast więc przyjął na siebie postać bardzo biednego, połamanego na wszystkie strony staruszka, i zaczął wydawać płaczliwe jęki. Święci zbliżyli się.

— Co ci jest, zapytał święty Nil.

— Niestety! niestety! moi dobrzy panowie, zawołał diabeł, raczcie mi dopomódz, błagam was o to. Jestem biedny niewolnik i mam złego, bardzo złego pana, kupca z kraju Fez. Wiecie zaś dobrze, że ci którzy pochodzą z krainy Fez: Maurowie, Numidowie, Garamanie i wszyscy mieszkańcy Barbaryi, Nubii i Egiptu są to ludzie źli, przewrotni, uganiający się za kobietami i podlegają namiętnościom cielesnym, zuchwali, gwałtownicy i o nic nie dbają, a to wszystko z powodu planety Marsa.

Oprócz tego mój pan cierpi na czarną wątrobę, żółtą wątrobę i flegmę cycerońską: stąd więc wypływa melancholia, która robi go bojaźliwym, bez odwagi, ale za to daje mu wiele pomysłów dla dokuczania innym i robienia im źle. Wszystko to spada na nas, biednych niewolników, na mnie biednego starca.

— Do czegóż to jednak prowadzi mój przyjacielu, zapytał zainteresowany święty Inomnich.

— Otóż mój dobry panie, rzekł szatan, mój pan jest wielkim amatorem podróży. Do jakiego tylko kraju przyjedzie, zaraz każe sypać w ogrodzie górę z piasku wziętego z nad brzegów morza, po nad którym ten złośliwy człowiek zakłada sobie mieszkanie.

W Zelandyi usypał kopiec z piasku błotnego i czarnego; w Fryzyi, kopiec z piasku zmieszanego z czerwonemi muszlami, pomiędzy któremi znajdują ostrokrąg tygrysi. W Chersonezyi cymbryjskiej, którą dziś nazywają Jutlandyą, usypał kopiec z piasku drobnego zmieszanego z muszlami białemi, pomiędzy któremi łatwo jest znaleść Tellinę-słońco-wschodową.

— A niechże cię diabli porwą, przerwał święty Nil z natury niecierpliwy. Powiedzże raz o co ci idzie. Kwadrans już przeszło straciliśmy, słuchając twoich bredni. Liczyłem sam minuty...

Diabeł pokornie skłonił się.

— Pan ma zwyczaj liczenia minut, to bardzo szlachetny zwyczaj. Widać, że pan pochodzi z południowych stron, albowiem wszyscy południowcy są to ludzie pomysłowi i mają zdolności do matematyki, więcej niż inni ludzie, bo są więcej zbliżeni do okręgu gwiazd błędnych.

Potem nagle rozpłakał się rzewnie i bijąc się w piersi rękami dodał:

— Niestety! niestety! moi dobrzy panowie, mój pan to bardzo okrutny człowiek. Ażeby usypać tę górę, kazał mnie biednemu starcowi codzień napełniać ten wór piaskiem z nad morza. Muszę go zanieść na plecach. Kiedy raz przejdę w ten sposób zaczynam od początku, i to się wlecze codziennie od wschodu aż do zachodu słońca. Jeżeli chcę spocząć, jeżeli chcę przespać się troszeczkę, jeżeli upadam z znużenia, jeżeli wór jest nie pełny, każe mnie ćwiczyć rózgami. Niestety! jestem bardzo nieszczęśliwy i bardzo bity i bardzo podległy słabościom różnym. Wczoraj, sześć razy odbyłem tę drogę wieczorem byłem tak zmęczony, że już nie mogłem podnieść na plecy tego worka napełnionego; przebyłem więc tutaj noc całą obok mojego ładunku i lękam się gniewu mojego pana. Panowie, moi dobrzy panowie, miejcie litość i miłosierdzie, pomóżcie mi włożyć ten wór na plecy, ażebym mógł wrócić do mojego pana, bo jeżeli się spóźnię, on mnie zabije. — Ahi! Ahi!

Słysząc tę rzewną apostrofę, święty Nil, święty Inomnich i święty Jan karzeł, bardzo się wzruszyli, a święty Medard tak się rozpłakał, że aż na ziemi czterdzieści dni deszcz padał.

Pomimo to święty Nil rzekł do szatana:

— Nie mogę ci dopomódz mój przyjacielu, chociaż bardzo tego żałuję, ale musiałbym przyłożyć rękę do tego worka, który jest rzeczą martwą, a jeden rozdział Pisma Świętego zabrania dotykać rzeczy martwych, pod karą zostania nieczystym.

Święty Inomnich rzekł do szatana:

— Nie mogę ci dopomódz mój przyjacielu, chociaż bardzo tego żałuję, ale uważam, że to byłby dobry uczynek, dobre zaś uczynki napawają pychą tych, którzy je spełnili, muszę więc odmówić sobie tego, ażeby nie utracić pokory.

Święty Jan karzeł rzekł do szatana.

— Nie mogę ci dopomódz mój przyjacielu,

chociaż tego bardzo żałuję, ale widzisz przecie jaki jestem maleńki, zaledwie do pasa ci dostać mogę. Jakim więc sposobem mógłbym włożyć taki ciężar na twoje plecy?...

Święty Medard tonąc w łzach rzekł do szatana:

— Nie mogę ci dopomódz mój przyjacielu, chociaż tego bardzo żałuję, ale jestem tak wzruszony, że ręce mi opadają.

I poszli dalej w swoję drogą.

Diabeł wściekał się ze złości.

— A to dopiero zwierzęta! zawołał patrząc na oddalających się świętych. Co za pedanci starcy! To dopiero głupcy z siwemi brodami. Słowo honoru! oni są jeszcze głupsi niżeli anioł!

Jeżeli kto z nas wpadnie w gniew, ma przynajmniej tę przyjemność, że może odesłać do diabła tego co go zirytował.

Diabeł nie może mieć tej ulgi.

Dla tego też w gniewie zawsze jak kolec jaki kłuje go to i doprowadza do rozpaczy.

Kiedy tak przeklina wszystko zwracając wzrok pełen ognia i wściekłości przeciwko niebu, swojemu wrogowi, nagle spostrzega punkcik czarny w obłokach. Punkcik ten wzrasta, zbliża się; diabeł patrzy; widzi człowieka rycerza uzbrojonego i w chełmie, był to chrześcijanin z krzyżem czerwonym na piersiach, spadający z obłoków.

— Niechże będzie pochwalony nie wiem kto, zawołał szatan skacząc z radości. Jestem ocalony. Oto mój chrześcijanin przybywa. Nie mogłem dojść do ładu z czterema świętymi, ale byłbym doprawdy kiepskiem diabłem ażeby nie poradzić sobie z jednym człowiekim.

Właśnie Pecopin, powoli złożony na brzegu dotknął ziemi nogami.

Spostrzegłszy starca, mającego pozór niewolnika wypoczywającego obok ciężaru, przystąpił doń i zapytał:

— Kto jesteś mój przyjacielu? i gdzie ja jestem? Diabeł zaczął boleśnie jęczyć.

— Jesteś panie nad brzegiem morza Czerwonego, ja zaś jestem najnieszczęśliwszym z nędzarzy.

I w dalszym ciągu wyrecytował rycerzowi tę samą co i świętym apostrofę, błagając na zakończenie, ażeby mu dopomógł włożyć na plecy ten worek.

Pecopin pokiwał głową.

— Mój poczciwcze, twoja historya bardzo wydaje mi się nieprawdopodobną.

— O piękny panie, który spadasz z obłoków, odpowiedział szatan, twoja historya jest jeszcze mniej prawdopodobną, a jednak jest prawdziwą.

— Masz racyę, rzekł Pecopin.

— Zresztą cóż mam robić, rzekł szatan? Jeżeli moje nieszczęścia nie zbyt smutno się przedstawiają, cóż na to poradzić mogę? Jestem tylko biedny nędzarz upadający na duchu i na sile. Powinienem widać żałośniej jęcząc, opowiadać swoje przygody, ale ja tylko prawdą żyję; wszak od wołu można żądać tylko mięsa.

— I to prawda, odrzekł Pecopin.

— Zresztą cóż to panu zaszkodzi, ciągnął dalej szatan, panu młodemu zuchowi, jeżeli dopomożesz starcowi przywiązać worek na plecach.

Pecopina ostatecznie to przekonało. Nachylił się podniósł bez trudu z ziemi worek i trzymając dwiema rękami chciał go już położyć na plecach nachylonego przed nim staruszka.

Jeszcze chwilka i stałoby się według tego co anioł powiedział.

Diabeł jednak ma wady, które go gubią. Jest okropnie żarłoczny. W jednej chwili przyszła mu wielka myśl do głowy, ażeby dołączyć duszę Pecopina do gromady dusz, które niósł do piekła. Wprzód należałoby zabić Pecopina. Cichym więc głosem zaczął wołać ducha niewidzialnego, któremu wydał jakiś rozkaz w niezrozumiałym języku. Wiadomo wszystkim, że szatani rozmawiając z sobą używają języka na w pół hiszpańskiego na w pół włoskiego z dodatkiem wyrazów łacińskich. To już jest dowiedzionem i najzupełniej wyświetlone w wielu wypadkach, szczególniej zaś w procesie doktora Eugeniusza Torralva, który to proces rozpoczęto w Walladolidzie 10 stycznia 1528 r. zakończono zaś najprzyzwoiciej 6 maja 1531 r. spaleniem rzeczonego doktora.

Pecopin wiedział o wielu rzeczach. Jak wam to wyżej mówiłem miał on wiele dowcipu i nie dał się tak łatwo wyprowadzić w pole, umiał nawet czytać. Diabelski język mu obcym nie był.

Przywiązując worek na plecach zgarbionego staruszka słyszy, że ten po cichu wymawia następujące słowa: Bamos nou cierra occhi, verbera frappa y echa la piedra. W jednej chwili wszystko zrozumiał. Skutkiem podejrzenia jakie mu przyszło do głowy podniósł oczy w górę i ujrzał bardzo wysoko nad sobą ogromny kamień, który ręka niewidzialnego olbrzyma trzymała w zawieszeniu nad jego głową. Rzucić się w tył, lewą ręką dotknąć talizmanu, prawą zaś uchwycić sztylet i przebić nim gwałtownie worek dla Pecopina było to dziełem jednej chwili, jak dla trąby powietrznej, która w jednej chwili przylatuje, kręci, zabiera, niszczy, pali i huczy grzmotami. Diabeł wrzasnął przeraźliwie. Duszyczki uwolnione uciekły szparą zrobioną sztyletem Pecopina zostawiając w worku swoje zbrodnie, namiętności i cały brud jaki za życia popełniły, ohydny ładunek, szkaradną narośl która przez właściwe diabłu przyciąganie przylgnęła do niego i pokryta skórą worka wrosła na zawsze pomiędzy jego łopatki. Od tego czasu Asmodeusz jest garbaty. Nie dosyć tego, w tej samej chwili kiedy Pecopin odskoczył na bok, olbrzym niewidzialny upuścił kamień, który spadając strzaskał szatanowi nogę i od tego czasu diabeł kuleje.

Szatan posiada, jak Bóg, grzmoty na swoje rozkazy; jest to jednak ohydny grzmot co wychodzi z pod ziemi i wyrywa z korzeniami drzewa. Pecopin uczuł, że brzeg morza drży pod nim, uczuł, że coś strasznego obejmuje go; czarny dym oślepia, straszliwy huk ogłusza, czuł że upada i wlecze się po ziemi jak suchy listek wiatrem rzucony.

Zemdlał. d. c. n.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Epoka pierwotna.

Teorya poczytująca ziemię za słońce zagasłe, za gwiazdę oziębioną, za mgławicę która ze stanu gazowego przeszła w stały, jest dziełem francuzkiego matematyka Laplace'a, nieśmiertelnego autora „Mechaniki niebieskiej“ (fig. 1).

W uwagach wstępnych powiedzieliśmy, że dziś jeszcze temperatura środka ziemi dosięgać może 195,000 stopni, to jest ciepła przechodzącego pojęcie naszej wyobraźni. Przyjmując to, musimy się zgodzić, że przy tak nadzwyczaj wysokim stopniu ciepła, wszelkie materye wchodzące obecnie w skład kuli ziemskiej, były w stanie gazu lub pary. Wszystkie dane wiedzy tegoczesnej zniewalają nas do przypuszczenia, że planeta nasza w stanie pierwotnym przedstawiała się w postaci kuli gazowej. Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że materye przechodzące w stan gazu, zajmują objętość ośmnaście razy większą od tej jaką posiadały pozostając w stanie stałym, przyjdziemy do wniosku, że ziemska kula gazowa miała olbrzymią objętość — że była tak wielką jak słońce które jest 1,400,000 razy większem od ziemi w obecnym jej rozwoju.

Drzeworyt oznaczony (figurą 2) daje nam wyobrażenie o różnicy zachodzącej między objętością ziemi obecnej, a istniejącej wówczas, gdy reprezentowała ją kula gazowa. Z dwóch kul, oznaczona literą *B*, przedstawia ziemię w stanie gazu, wskazana zaś literą *A*, wyobraża objętość ziemi w stanie stałym. Porównywając z sobą te dwie figury jeometryczne, poznajemy, do jak małej objętości zmniejszyła ziemia swą wielkość pierwotną.

Masa gazowa, stanowiąca naówczas naszę planetę, podniesiona do niezmiernie wysokiej temperatury, błyszczała w przestworze jak dziś błyszczy słońce, jak błyszczą w czasie pogodnej nocy gwiazdy stałe i planety.

Krążąc około słońca, według prawa powszechnego ciążenia, ta kula gazów płonących, ulegała prawom zarządzającym wszelkiemi ciałami materyalnemi. Oziębiała się i odstępywała stopniowo część swego ciepła mroźnym przestworom międzyplanetarnym, w pośród których kreśliła płomienistą bruzdę. W skutek tego ciągłego oziębiania się, w upływie czasu którego niepodobna nam oznaczyć nawet w przybliżeniu, gazowa planeta nasza zmieniła się w kulę płynną, i wówczas znacznie pomniejszyła swą objętość.

Wiadomo z mechaniki, że ciało płynne wprawione w ruch obiegowy, przyjmuje postać kulistą—owóż w tenże sam sposób ziemia przyjęła kształt sferojdy, tak jej jak i wielu innym ciałom niebieskim właściwy.

Ziemia nietylko ulega ruchowi obrotowemu około słońca. Wiadomo z nas każdemu, że jednocześnie obraca się ona około swej osi, a to odbywając ruch jednostajny, wytwarzający naprzemian dnie i noce. Otóż mechanika okazuje a doświadczenie potwierdza, że masa płynna będąca w ruchu (w skutek zmian zacho-

dzących w sile odśrodkowej w rozmaitych średnicach:) wydyma się ku równikowi kuli a płaszczy u biegunów, stanowiących przeciwległe sobie krańce jednej średnicy. Podobnemu procesowi ulegała ziemia będąc w stanie płynnym; wydęła się bowiem w okolicy równika, a spłaszczyła przy biegunach i pierwotną swą postać kulistą zmieniła na elipsojdę, spłaszczoną w dwóch punktach sobie przeciwnych. To wydęcie się ziemi u równika i i spłaszczenie jej u biegunów, jest wymownem świadectwem pierwotnego płynnego stanu naszej planety. Kula w stanie stałym, naprzykład bila bilardowa, mogłaby przez wiele tysięcy wieków obracać się około swej osi, nie doznając żadnej zmiany wswej postaci — przeciwnie kula płynna, lub pozostająca w stanie grzęskim, wydmie się zawsze w tych warunkach, w okolicach swej linii równikowej a spłaszczy na krańcach średnicy oś jej stanowiącej. Opierając się na tej zasadzie, to jest przyjmując pierwotną płynność kuli ziemskiej, Newton pierwszy wygłosił wydęcie się ziemi ku równikowi i spłaszczenie się jej przy biegunach, a co więcej oznaczył z góry za pomocą rachunku, stopień tego spłaszczenia. Bezpośrednie wymiary owego wgniecenia i wygórowania ziemi, dowiodły wkrótce, jak dokładnemi były przewidywania słynnego matematyka angielskiego. W 1736 roku, Maupertuis, Clairaut, Camus, Lemonnier, i labuś Outhier, pracujący oddawna w obserwatoryum paryskiem, wysłani zostali do Laponii przez akademję nauk, w celu wymierzenia stopnia długości. Towarzyszył im astronom szwedzki Celsius, i dostarczył najlepszych narzędzi do tych wymiarów. Jednocześnie akademja wysłała w okolice równikowe Condamine'a i Bouguer'a. Wymiary dokonane w tych miejscach przez powyższych uczonych, okazały istnienie wydęcia się ziemi pod **równikiem**, a wgniecenia jej przy biegunach. Wymiary te udowodniły nadto, że spłaszczenie się ziemi u biegunów, było znacznie większem niż je Newton rachunkiem oznaczył.

W skutek cząstkowego oziębiania się masy ziemskiej, nie wszystkie materye gazowe ją składające przeszły w stan płynny—niektóre z nich pozostały w stanie gazu lub pary i wytworzyły na około ziemskiej sferojdy powłokę czyli atmosferę. Mielibyśmy wszakże bardzo niedokładne wyobrażenie o atmosferze, otaczającej kulę ziemską w tej epoce od nas niezmiernie odległej, gdybyśmy ją chcieli porównywać z dziś istniejącą powietrznią. Materya gazowa otaczająca ziemię pierwotną, zajmowała przestwór niezmierzony i bezwątpienia dosięgała księżyca. Powietrznia ta zawierała w sobie w postaci pary, olbrzymją masę wód, które wytworzyły później morza, a wody te łączyły się z wszelkiemi materyami zachowującemi stan gazowy w temperaturze jaką przedstawiała wówczas rozpalona ziemia. Nie przesadzamy bynajmniej utrzymując, że temperatura jej dochodziła wtedy 2000 stopni ciepła. Atmosfera też w skutek tak nadzwyczajnego gorąca, wywierała na kulę ziemską ciśnienie, zapewne nieskończenie większe od dziś istniejącego. Z gazami stanowiącemi obecnie powietrze atmosferyczne, to jest z azotem, tlenem i kwasem węglanym, łączyły się potężne masa pary wodnej oraz materye mineralne i metaliczne, pozostające w stanie gazu, w skutek niesłychanie wysokiej temperatury tego kolosalnego pieca. Metale, chlorki metaliczne i alkaliczne, siarka, siarczyki a nawet krzem, glin i wapń, wszystko to przedstawiało się pod postacią par w pierwotnej atmosferze kuli ziemskiej.

Prawdopodobnie rozmaite materye składające tę atmosferę, ułożyły się na około ziemi w porządku odpowiadającym ich ciężkości gatunkowej. Pierwsza ich warstwa, najbliższa powierzchni ziemi, wytworzoną była z par najcięższych, złożonych z metalów pozostających w stanie lotnym, a mianowicie z żelaza, platyny i miedzi, pomieszanych bezwątpienia z pyłkami metalicznemi jakie powstawały z cząstkowego zgęszczania się par tychże metalów. Ta pierwsza warstwa atmosfery, najcięższa i najgęstsza była całkiem ciemną, chociaż powierzchnia ziemi rozpaloną była do czerwoności. Powyżej unosiły się materye parujące, takie naprzykład jak chlorki metaliczne i alkaliczne, a w szczególności chlorek sodu czyli sól kuchenna, siarka i fosfor równie jak związki lotne tychże ciał—wszystkie te materye stanowiły drugą warstwę owoczesnej atmosfery. Najwyższa warstwa zawierała w sobie zapewne materye najłatwiej ulotniające się, jako to wodę w stanie pary, w połączeniu z ciałami gazowemi, tlenem, azotem i kwasem węglanym. Wszelako ten układ warstw atmosfery, nie utrzymywał się stale. Pomimo nierównej ciężkości gatunkowej trzech tych warstw atmosfery, często one mieszały się z sobą. Straszliwe huragany w tej powietrzni zachodzące wielekroć ją rozdzierały, łącząc w chaotyczną mieszaninę rozpalone jej warstwy.

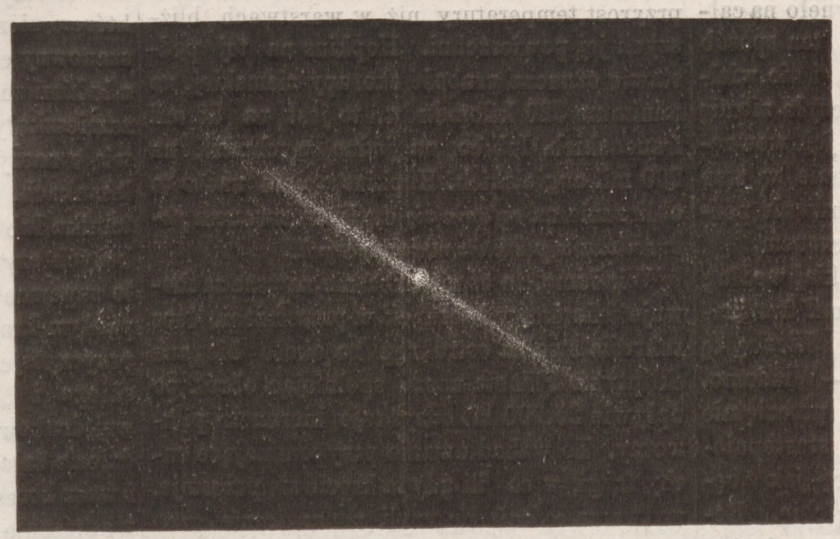


fig. 1. Ziemia w stanie gwiazdy gazowej, krążąca w przestrzeni (str. 40).

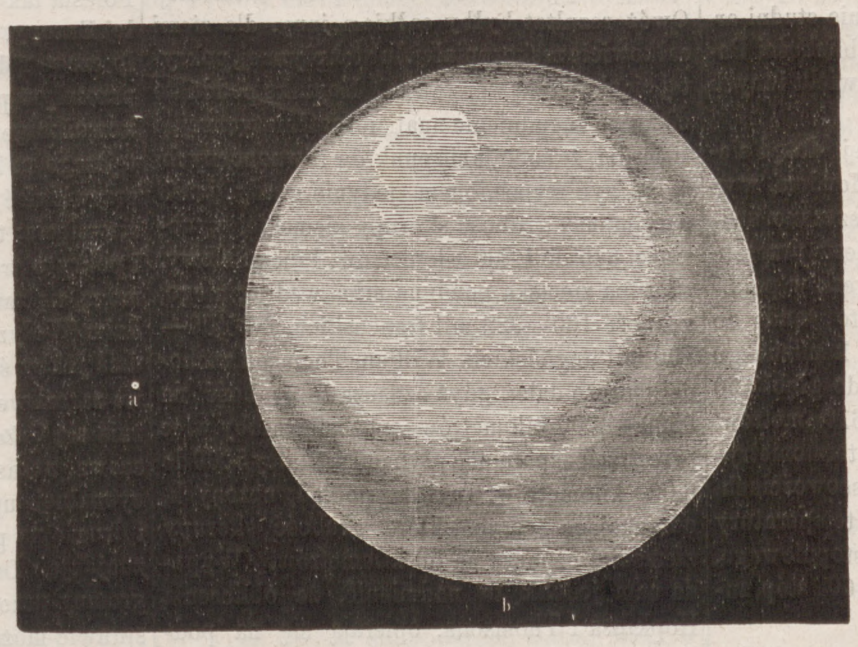


fig. 2. Porównawcze zestawienie objętości ziemi w stanie gazowym z obecną jej postacią *A* przedstawia ziemię w stanie stałym; *B* ziemię w postaci kuli gazowej (str. 40).

Co się tyczy kuli ziemskiej, ta jakkolwiek mniej ulegała ruchom niż atmosfera, nawiedzaną przecież bywała przez nieustanne burze, zachodzące w skutek działania procesów chemicznych, odbywających się w jej masie płynnej.

Z drugiej strony, elektryczność wypływająca z potężnej działalności tychże procesów chemicznych, zachodzącej na ogromnej przestrzeni, wytwarzała gromy piorunowe straszliwej siły. Na powierzchni ziemi, war rozpalonych materyj, borykanie się wody z ogniem, wytryski gazów z pośród wrzących płynów — w atmosferze łoskot bijących piorunów, dawały obraz, którego żadna wyobraźnia nie mogłaby odtworzyć, obraz zamieszania pełnego grozy.

W ten sposób kula ziemska krążyła w przestworze, pozostawiając za sobą strugę ognistą atmosfery, do życia niezdatnej i nieprzenikliwej dla promieni słońca, około którego zakreślała w biegu kolosalną linję krzywą.

Temperatura przestworów planetarnych jest niezmiernie niską—wynosi ona według Laplace'a, przynajmniej sto stopni poniżej zera. Przestrzenie mroźne które w swym jednostajnym obrocie przebiegała rozpalona ziemia, musiały ją bezwątpienia oziębiać. Zwolna i najpierw od powierzchni, kula ziemska nieco wystudzona, przeszła w stan grzęzki. Nie należy zapominać, że ziemia z powodu swego stanu płynnego, ulegała wówczas przypływom

i odpływom, pochodzącym z przyciągania jej płynów przez księżyc i słońce. Zjawisko to zachodzi dziś wyłącznie tylko na morzach. Owe przypływy i odpływy płynnych i ruchomych atomów ziemi, przyspieszały jej zeskorupienie. Nabywała ono stopniowo tej spójności, jaką się cechuje żelazo w kuźniach wydobywane z pieca i pod młot poddawane.

W skutek coraz większego oziębiania się ziemi, wytworzyły się warstwy materyj zsiadłych, które zrazu pływały po jej w pół płynnej powierzchni, a później zjednoczyły się z sobą i wyformowały ławice, jak to dziś widzimy na lodach mórz biegunowych, łączących się z sobą i tworzących mniej lub więcej ruchome lodowiska.

To ostatnie zjawisko zachodzące na całej powierzchni ziemi, najwięcej wpłynęło na całkowite zeskorupienie ziemi. W ten sposób skorupa jej jeszcze wielce cienka, i nie wielką siłę oporową posiadająca, otoczyła ziemię jakby powłoką osłaniającą części jej wewnętrzne płynne, których przechodzenie w stan stały odbywało się stopniowo nierównie później, i dotąd jeszcze nie jest ukończonem.

Grubość obecna skorupy ziemskiej według obliczeń, ma wynosić dwanaście mil francuzkich, czyli blisko 50 kilometrów. Liczbę tę otrzymano w sposób następny.—Wiadomo, że temperatura ziemi wzrasta przeciętnie o jeden stopień ciepłomierza stustopniowego na 33 metrach, w miarę jak będziemy się zapuszczać w jej głębię. Rezultat ten pozyskano z wielu wymiarów, dokonanych w kopalniach Tarn we Francyi, kornwalskich, erzgebirgeńskich, uralskich, szkockich, a głównie z sondowania studni artezyjskich w Grenelle i Passy w bliskości Paryża, w Saint-André, Pregny, i w wielu innych miejscowościach.

Największa głębokość do jakiej dotąd sięgnięto w ziemi, a mianowicie w Mondorf, w w. ks. Luksenburgskiem, gdzie zapuszczano świder, wynosiła 730 metrów, to jest przeszło 2530 stóp polskich. W Neusalzwerk w pobliżu Minden (w Prusach), posunięto sondę do 697 metrów — w kopalni węgla kamiennego w Monkwermouth, dokopano się do głębi 550 metrów — w Dukinfield zaś do 610 metrów. Z przeciętnej liczby wymiarów termometrycznych dokonanych w tych miejscowościach, wywnioskowano prawo przyrostu temperatury o jeden stopień ciepłomierza stustopniowego, w głębokości 33 metrów czyli 60 stóp angielskich.

Przyjmując, że to prawo istnieje we wszelakiego rodzaju warstwach ziemnych, przychodzimy do wniosku, że w głębokości 40 — 50 kilometrów, to jest w głębokości przenoszącej pięć razy wysokość najwynioślejszych gór, materye trudnotopliwe są w stanie płynnym.

Według Mitscherlicha, temperatura płomieni wodoru w powietrzu otwartem, dochodzi 1,560 stopni ciepłomierza Celsiusza. Owoż w tym płomieniu stapia się platyna. Granit topi się w temperaturze niższej od tej, w jakiej stapia się żelazo lane, to jest prawie w 1,300 stopniach. Srebro roztopionem zostaje w temperaturze 1,023 stopni.—Przyjmując przyrost ciepła o 1 stopień na 33 metrach głębokości, znajdujemy w głębi 40 kilometrów temperaturę 1,225 stopni, a w głębi 50 kilometrów pod powierzchnią ziemi, temperaturę 1,528 stopni. Wypada zatem przypuścić, na podstawie tego rachunku, że grubość skorupy kuli ziemskiej nie przechodzi 50 kilometrów. Wypadałoby stąd, że grubość tej skorupy stanowi $\frac{1}{260}$ część średnicy ziemi, chociaż ocena ta nie jest bynajmniej ścisłą. W rzeczy samej, przyrost temperatury nie bywa tak wielki w znaczniejszych głębokościach. W 1860 roku, uczony angielski Hopkins, zwracał uwagę fizyków na ten fakt, że przewodnictwo cieplika w skałach granitowych, jest większe niż w warstwach osadowych. Możnaby stąd wnioskować, że w niższych pokładach ziemi, zachodzi powolniejszy przyrost temperatury, niż w warstwach bliższych jej powierzchni. Hopkins na tej podstawie oznacza grubość skorupy ziemskiej, na minimum 320 kilometrów, to jest na 80 mil francuskich, lub co na jedno wychodzi, na 200 mil angielskich. Hopkins opiera nadto to obliczenie na *cofaniu się* czyli tak zwanem *poprzedzaniu punktów równonocnych.*

Wiadomo, że oś ziemska nie zawsze zachowuje jednakowy kierunek w przestrzeni, lecz zakreśla zwolna ostrokręg na około bieguna ekliptyki. Planeta nasza spełniając obrót, po upływie 25,000 lat odzyskuje kierunek pierwotny. To wahadłowanie przypominające ruchy frygi, w chwili gdy ta kręcić się przestaje, wytwarza *cofanie się* czyli *poprzedzanie punktów równonocnych.* Zachodzi to w skutek przyciągania, wywieranego przez słońce i księżyc na wypukłość równikową kuli ziemskiej. Owóż rezultat byłby całkiem inny, dla ziemi całkowicie zeskorupiałej, lub też płynnej, pokrytej cienką stałą warstewką. Hopinks poddał to ciekawe zagadnienie analizie matematycznej, i twierdzi, że cofanie się punktów równonocnych, może być wyjaśnionem jedynie wtedy, jeżeli przyjmiemy grubość skorupy ziemskiej wynoszącą 640 do 1,290 kilometrów. Innemi słowy, skorupa ziemska powinna mieć według niego, grubość 160—322 mil francuskich, lub 400—800 mil angielskich. William Thomson zachodzi jeszcze dalej, gdyż oznacza tę grubość na 3200—4000 kilometrów—pozostawałaby więc przestrzeń zapełniona płynami średnicy 5000 do 6,000 kilometrów. Takie są poglądy uczonych, odrzucające teoryę, która grubość skorupy ziemskiej oznacza na 50 kilometrów. Wypada nam jednak tu nadmienić, że obliczenia Hopkinsa i Thomsona, opierają się na podstawach wielce wątpliwej wartości, i nie dość ściśle określonych. Zresztą znakomity astronom francuzki Delaunay, nie uznaje rachunku Hopkinsa za dość usprawiedliwiony i nie podziela jego wniosków. Wszystko to upoważnia nas do przyjęcia, że hypoteza przyznająca skorupie ziemskiej grubość 50 kilometrów, dotąd jeszcze stanowczo obaloną nie została.

Przyjmując tę grubość, możemy oznaczyć stosunek istniejący między jądrem płynnem ziemi, a jej warstwą zeskorupiałą.

d. c. n.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Z Polesia w styczniu 1876 r.

Gdy spojrzysz czytelniku na mapę „gubernij zachodnich,“ na pierwszy zaraz rzut oka, zauważysz po obu stronach rzeki Jasiołdy kreseczki oznaczające błota; oprócz tych kreseczek zauważysz że w tym miejscu jest nadzwyczaj mało napisów, kółek i kółeczek oznaczających miasta, miasteczka i wsie; drogi żelaznej, oprócz kawałka linii Brzesko-Moskiewskiej, ani szosy tu nie znajdziesz, są tylko drogi (jeżeli je można nazwać drogami) tak tutaj zwane „partykularne“ i gdzieniegdzie „*gościniec* pocztowy.“ Zapadły kraj! pomyślisz sobie. Rzeczywiście zapadły; jest to Polesie, o którem nieraz zapewne przyszło ci się słyszeć szanowny czytelniku, jeżeliś miał do czynienia z ludźmi znającemi cokolwiek własny kraj, lub zamieszkałymi „na błotach,“ jak zwykle mówią o naszych zacnych współobywatelach Poleszukach. A jeżeli należysz szanowny czytelniku lub czytelniczko, do rzędu stworzeń bożych czytających coś więcej jak powieść, to zapewne nawet coś i czytaliście o tym „zapadłym kraju...“ Jeżeli zaś nie, to radzę wam przyczytajcie „Podróż po Polesiu“ Kraszewskiego i „Listy z nad Niemna“ Orzeszkowej drukowane w „Niwie.“ Ręczę, że nie będziecie żałować czasu. Zresztą w przyszłości i wasz korespondent poda wam dość szczegółowe opisanie Polesia, dziś zaś tylko ograniczy się na podaniu niektórych faktów będących u nas „na czasie.“ Najprzód rzecz ważna jak dla Polesia tak i dla całego kraju a może i dla całej Europy, jest osuszenie błot pińskich, około czego roboty już rozpoczęte zostały w roku przeszłym pod kierunkiem i wedle planu pułkownika generalnego sztabu, a obywatela tutejszego p. Żylińskiego. Dziś trudno jeszcze przewidzieć rezultaty tego ogromnego przedsiewzięcia; te przestrzenie przesiąknięte wodą i pokryte trawą błotną lub lasem, z czasem mogą się zamienić na urodzajne, jak na sąsiednim Wołyniu, pola i piękne łąki. Ludność dziś jakby śpiąca i napastowana przez rozmaite zaraźliwe choroby, między któremi wyróżnia się *kołtun* jako choroba wyłącznie miejscowa, z czasem się przebudzi i weźmie do racyonalnej uprawy roli i przemysłu. A jedno i drugie na pierwotnym stopniu tu się teraz znajdują. Drugim ważnym faktem, który ogromny przewrót w miejscowych stosunkach sprawić może, jest projekt przeprowadzenia tutaj drogi żelaznej przez sam środek Polesia na Pińsk z kilku bocznemi odnogami: główna linia ma iść od Brańska na Homel, Pińsk do Brześcia, od tej zaś odnogi: jedna od stacyi Łobery (znajdować się mającej na głów. linii o kilkadziesiąt wiorst na wschód od Pińska) pójdzie na półn.-zachód przez Domanowo (stacya dr. ż. Moskiewsko-Brzeskiej) do Grodna, druga od stacyi Urłowo na połud.-zach. do Kowla z odnogą na Równo idącą. Oprócz znaczenia we względzie strategicznym, drogi te będą konkurowały o przewóz towarów z połud.-wschodniej i południowej części Rossyi, które dziś idą na Orzeł i Konotopę do portów morza Baltyckiego. Po zanotowaniu tych dwóch faktów mających daleko rozleglejsze niż

miejscowe znaczenie, przechodzę teraz do rzeczy czysto miejscowych. Otóż co do tych muszę najprzód powiedzieć, że jakkolwiek bardzo ich wiązka jest szczupłą, stosunkowo do innych w szczęśliwszych okolicznościach znajdujących się prowincyj, to jednak w ostatnich czasach jest ona znacznie większą niż była np. choćby przed paru tylko laty. Ruszamy się chociaż bardzo pomaluczku, jednak się ruszamy i posuwamy naprzód. Oto przed rokiem jeszcze w korespondencyi do „Opiekuna“ „z Kobryńskiego“ zaznaczyłem np. że żaden z właścicieli ziemskich pomimo że od lat paru istnieją tutaj agentury towarzystw ubezpieczeń odognia, nie zaasekurował swej nieruchomości, li tylko dla tego może, że to było u nas nowością. Dzisiaj przychodzi mi zaznaczyć fakt przeciwny. Warszawskie towarzystwo uprosiło tu na agentów swoich, ludzi znanych w okolicy, powiększej części obywateli... w bardzo krótkim przeciągu czasu połowa przynajmniej ruchomości ubezpieczoną została. Musimy tu jednak zrobić uwagę, że niedosyć być obywatelem ziemskim i mieć znajomości w okolicy, ażeby pozyskać zaufanie potrzebne dla tego rodzaju urzędników, szczególniej tutaj gdzie sama nowość wzbudza już pewne niedowierzanie. I dla tego towarzystwo powinnoby być dla własnego choćby interesu więcej ostrożnem i skrupulatnem w wyborze swoich miejscowych przedstawicieli, niż się to dotąd okazało.

Handel o ile takowy jest tutaj rozwiniętym, znajduje się jeżeli niezupełnie to prawie zupełnie w ręku plemienia Izraela i pod tym względem nie widzimy żadnego postępu, żadnego kroku ku lepszemu... Jak przed laty tak i dziś, a dziś może nawet więcej producenci płodów rolniczych są wyzyskiwani przez pośredników (kapitalistów) zamiany z konsumentami. Z czasem chyba dopiero, gdy będą poprowadzone wzwyż wspomniane koleje żelazne, tak niekorzystny dziś stosunek dla rolników się zmieni. Ale bodajby się nie sprawdziło przysłowie „nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje.“ Z każdym rokiem liczba majątków przechodzących w dzierżawę do żydów wzrasta, a jakkolwiek kupować im ziemi tutaj niewolno, to jednak nie zdarzyło mi się słyszeć o wypadku, ażeby który właściciel ziemski raz wypuściwszy swój majątek żydowi, wszedł znowu w faktyczne posiadanie takowego. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby owi dzierżawcy-izraelici stali się rolnikami, owszem moglibyśmy tylko przyklasnąć temu i życzyć by jak najwięcej było tego rodzaju przykładów; ale kiedy niestety tak nie jest. Żyd osiadły na roli nigdy nie zapomina że jest *handlarzem* i że jego bożyszczem jest pieniądz, który zdobywać mu wolno na gojach wszelkiemi możliwemi środkami... Szczupłe ramy niniejszej korespondencyi, jakie sobie zaznaczyłem, nie pozwalają mi dłużej nad tem zastanawiać się. W przyszłości może będziemy mieli sposobność jeszcze o tem obszerniej pomówić. Oprócz jednej plagi jaką są do dziś dnia żydzi, słusznie poniekąd obawiamy się drugiej a mianowicie, niemców: gdy bowiem uskutecznionem, o ile o tyle zostanie osuszenie błot pińskich i poprowadzone zostaną koleje, prawie wątpić nie można, że kulturtregierzy rzucą się na łakomy kąsek jakim się będzie przedstawiać nasze Polesie, bogate w lasy prawie dziewicze, i w przyszłości w żyzną i urodzajną glebę. Czeka nas o ile straszna, o tyle zdaje się nieunikniona walka!.. Kto zwycięży? Przyszłość okaże.

Przemysł tu przeważnie rozwinięty leśny, a mianowicie wyrabiają się na wielką skalę klepki na rozmaite statki gospodarskie, pędzi się smoła i dziegieć. Drzewo dębowe, sosnowe lub olszowe albo też wyroby z niego, spławiają się Dnieprem do południowych gubernij Cesarstwa. Oprócz tego przedmiot handlu stanowią: ryby suszone, grzyby, miód i wosk a także i wódka. W powiatach zaś oddalających się więcej od centrum jakim jest Pińsk, jako to w Słuckim, Kobryńskim i Brzeskim (te dwa ostatnie w części tylko można zaliczyć do Polesia), prawie wyłącznie przedmiotem handlu jest zboże (główne żyto i kartofle). Z zakładów przemysłowych większych możemy tu tylko wspomnieć o fabryce sukna Skirmunta (pow. Piński), której wyroby dochodzą do 500,000 rubli wartości rocznie. W tymże samym powiecie znajduje się fabryka cukru, dająca do 10 tysięcy pudów rocznie. Oprócz tych znajdują się tu i ówdzie małe fabryczki oleju, mydła, świec, wyrobów garncarskich, cegielnie, gorzelni bardzo wiele stosunkowo, a także garbarnie. Z tych ostatnich zasługuje na uwagę jedna tylko, założona przez pp. Wł. Mankiewicza i St. Szaniawskiego przed dwoma laty, o kilka wiorst od Bobrujska; jest to jedyna u nas, a bodaj czy nie i na całej Litwie fabryka, której wyroby nie ustępują tego rodzaju warszawskim wyrobom. Rzemieślnicy w niej pracujący są prawie wszyscy sprowadzeni z Warszawy. Dziś nie możemy jeszcze podać cyfry chociażby przybliżonej, oznaczającej roczną produkcyę tej fabryki, gdyż teraz dopiero właściwie zaczyna się ona rozwijać. Właściciele bowiem przekonawszy się że niemożna na miejscu mieć zbytu, musieli go sobie szukać na oddalonych rynkach w Petersburgu i Moskwie. Zdziwi może niejednego ta okoliczność, gdy dodam jeszcze, że rzemieślnicy muszą zaopatrywać się w towar z fabryk warszawskich, miejscowy wyrób jest lichy i niewystarczający. Obeznany z tutejszymi stosunkami będzie to uważał za objaw bardzo zwyczajny. Rzemieślnicy u nas i kupcy są żydzi, a fabrykę ośmielili się założyć goje... ot i cała zagadka rozwiązana. Z czasem, gdy zobaczą że fabryka będzie funkcyonować i rozwijać się bez ich poparcia, widząc własny w tem interes, będą nabywać jej wyroby, lecz tymczasem wolą zrzec się tego interesu, w nadziei... A gdyby fabryka nie była zaasekurowaną, kto wie czyby nie poszła z dymem, jak to przed kilku laty miało miejsce ze stodołą p. Sz. który założył piwowarnię przez co konkurował z jednym starozakonnym, w pobliskości mającym także piwowarnię. Faktów podobnych, przemawiających za *dobrze* zrozumianym interesem własnym i za środkami szlachetnemi jakich używa szlachetne i zacne plemię Izraela, możnaby naliczyć bardzo wiele.

O życiu towarzyskiem dałoby się bardzo i bardzo wiele powiedzieć, lecz niezawsze można to powiedzieć co się myśli... W ogóle jednak można zaznaczyć brak solidarności i to nie tylko między różnemi klasami i narodowościami, brak jakiejkolwiek spójni łączącej pojedyńcze indywidua, brak ogniska u którego mogłaby się skupić gromada. Każdy oddany pracy i zabiegom o chleb powszedni, zdaje się że żyje tylko dla siebie i w najlepszym razie dla rodziny, po za tem światek jest dla niego tylko sceną, na której odgrywają się komedye i dramata, ale w których on zdaje się niebrać żadnego udziału... Kogo to nie zadawalnia, stara się uciec jeżeli może tam gdzie więcej życia, gdzie żyć weselej, lecz nikt podobno nie pomyśli że przecież i u nas można żyć i nie tylko przyjemnie i pożytecznie, ale nawet i wesoło, ludzie tu jak zwyczajnie u nas ludzie, ani gorsi ani lepsi, tylko może powietrze i cała przyroda poleska na smutną nutę nastraja...

Brak towarzystwa poniekąd zastępować zdają się pisma i książki. Co do tych pierwszych, to w każdym je prawie domu obywatelskim znaleść można po kilka nawet nieraz. Szkoda tylko, że w niewielkiej stosunkowo ilości znajdujemy pism poważniejszych, jak: Niwa, Opiekun, Przegląd Tyg. lub Przyrodę i Przemysł, a szczególniej dziwnem się wydaje że nadzwyczaj rzadko się zdarza spotkać z pismem rolniczem. Natomiast kto tylko prenumeruje pisma każdy ma gazetę polityczną lub pismo illustrowane. Gdy mówimy o pismach wspomnieć wypada, że w Słucku istnieje od początku prawie zawiązania w Warszawie Spółki kolportacyjnej, agentura tej spółki, która cieszy się powodzeniem. Wartoby ażeby miejscowa inteligencya pomyślała o otworzeniu agentur w innych naszych powiatowych miasteczkach. Na zakończenie muszę jeszcze zanotować jeden bardzo niepocieszający objaw jaki u nas od czasu zaprowadzenia głośnych sądów uwidocznia się. Mianowicie niektórzy starozakonni mając bardzo ułatwioną dzisiaj procedurę, zrobili że się tak wyrażę rzemiosło i sposób zarobkowania z procesów z włościanami. Niektórzy np. sędziowie w przeciągu miesiąca rozpatrują po 100—200 spraw i to prawie wszystkie żyda z włościaninem, przyczem żyd zawsze jest stroną pozywającą. Sędziów zaś na powiat jest 3—4.

Z. A. Sza.

ROK W KRAKOWIE.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

(1874 i 1875).

F. M. Eysymonta.

(dalszy ciąg).

I.

Pierwsze wrażenia. — Hotel Londres. — Kraków, jako miasto żydowsko-niemieckie. — Kazimierz. — Znaczenie żydów w Niemczech. — Plan Krakowa. — Rynek. — Sukiennice. — Brama Floryańska. — Planty. — Dworek Łepkowskiego. — Widok z mojego pokoiku. — Profesor archeologii Dr. Józef Łepkowski. — Pogląd na znaczenie dzieł jego w historyi literatury polskiej.

Czytelniku, czytelniczko! Z całego serca życzę wam, abyście mieli w danym razie więcej sprytu od waszego sługi, t. j. odemnie; szczególnie zaś, jeśli was los poniesie do naszego starego Rzymu, do Krakowa. Otóż na dworcu kolei nigdy nie ufajcie najwięcej wygalonowanemu lokajowi, bo co się zewnątrz

zbyt świeci.... mówię o lokaju który nosił na czapce tablicę z napisem: *Hotêl de Londres.*

Otóż, żem się najprzód nie rozpytał o krakowskie hotele, żem się lenił dowiedzieć, iż *Saski* jest najdogodniejszy, *Pod Orlem białym* wcale niczego, *Drezdeński* i *Pod Różą*, dawniejszy *Rossyjski*, najdroższe, a *Pollera* ni to ni owo, licho mię wniosło do fatalnego *Londres*. Ten hotel, który właściwiej byłoby nazwać *flondrą*, znajduje się gdzieś przy końcy ulicy Grodzkiej, już na Kazimierzu prawie. A wiecież, co to jest ów *Kazimierz?* — zapewne, ależ bo:

Gdy podróżnemu, porwanemu cudnymi obrazami wyobraźni, zamiast roskosznie wyśnionego kalejdoskopu, rozwinie się tu przed oczyma cały szereg żydowskich brudów i betów, woniejących pod częścią żydowskimi, częścią niemieckimi szyldami, doprawdy, tak wielkie rozczarowanie jest w stanie wywołać i gniew i wstręt, i złość nareszcie; wrażeniem zaś takiem, a nie innem upaja Kazimierz do syta, gdy zamiast Krakowa ujrzy się jego pejsate i jarmułkowate oblicze, umyte w błocie brudu po nad zachydzoną śmieciskami biedną matką, Wisłą. Obecnie izraelici wciskają się coraz silniej, coraz to z większą przemocą do samego Krakowa, że i piękny rynek krakowski nie jest już od nich wolnym. Są oni zupełnie zniemczali i w większej swej części ciągną do partyi wbrew konstytucyjnych wiedeńskich centralistów.

W ogóle znaczenie żydów za granicą jest najszkodliwsze a silne, gdyż korzystają oni zarówno ze wszystkich swobód konstytucyjnych. W ministeryum berlińskiem, w radzie państwa rej wodzą. Cała prasa berlińska i częścią wiedeńska w ich ręku. O ile zaś w Berlinie są stronnikami, więcej, bo nauczycielami liberalizmu Bismarka, główną sprężyną wojny antireligijnej, którą dziś wrą całe Niemcy, o tyle w Wiedniu stanowią koło opozycyjne przeciw dzisiejszej formie rządu, w imię pangermańskiego centralizmu z liberalizmem na czele, w imię tego wszystkiego, co się dziś dzieje pod wszechwładną nad podbitemi i zjednoczonemi państwami hegemonią Prus. Oni przemawiali za równouprawnieniem starokatolików, idealnych, gdyż ich tu jeszcze nie ma.... Oni wnieśli niedawno do rady państwa austryackiego projekt skasowania wszystkich świąt chrześcijańskich, niby w celu ekonomicznym.... lecz dla czegoż nie mojżeszowych?... i ich to dzienniki podniosły wstrętnie śmieszny lament żydowski, pełen zajadłej złości, gdy projekt ów jak dotąd z oburzeniem odrzucono. Jednem słowem, na niemieckim zachodzie, śród pleśni zdziczenia, uczuwają się już straszne słowa przepowiedni biblijnej: „i przyjdzie panowanie żydów“.... Nic nie może przynieść więcej szkodliwych a nawet strasznych następstw ludzkości, jak rozwój, postęp błyskawiczny cywilizacyi w złem jej zrozumieniu, w fałszywym kierunku.

Co do Galicyi, ta zaledwo już wytrzymuje potężny nacisk stronnictwa żydowskiego. Byłem świadkiem w Krakowie wyborów posła do rady państwa (z drobnych faktów rozumni często wnoszą o stanie rzeczy), byłem świadkiem, jak na niekorzyść wolnego sejmu trzy krajowe stronnictwa złączyły się w jedno; usunęły najprzód dwóch dzielnych kandydatów, aby li tylko tą drogą sił zespolonych odnieść większość głosów nad liczną partyą żydowską, głosują za swoim kandydatem, żydem; i ledwo, ledwo zamiast p. Warchauera do Wiednia wyjechał p. Rydzowski, jako obok hr. Mieroszowskiego drugi poseł krajowiec, gdy trzecim jest już jeden przybysz, żyd krakowski. Jeśli zaś dzisiaj tak się jeszcze stało, nie od rzeczy będzie* pomyśleć nad tem, że według statystycznych wyliczeń, żydzi w Galicyi pięć razy więcej się mnożą, niż polacy i rusini.... Gdy więc kostyczna anegdotka lwowskiego *Szczutka*, który Galicyę i Lodomeryę z wielk. Księstwem Krakowskiem nazwał *Galileją i Gałganeryą z W. ks. Wronowskiem*, szczególnie co do ostatniej nazwy ma już dzisiaj swoją wartość; niezawodnie pierwsza z tych jej nazw aż nadto staje się smutną przepowiednią niedalekiej przyszłości.... bo wrony kraczą, nie myśląc o jutrze, wtedy gdy w kwestyi żydowskiej powinneby przemówić i postąpić tak przynajmniej, jak to nie dawno, przed kilku miesiącami, węgrzy uczynili; ale wrony kraczą tylko hałaśliwie, jeśli zaś wierzyć twierdzeniom Lafontena i Kryłowa, zwykły one jeszcze ser swój lisom oddawać, co się rzeczywiście daje widzieć na tej nieszczęśliwej przyszłej Galilei. O! ciemni i niewidzący. Serem tym właśnie są wioski, są dobra ziemskie, które ostatnimi szczególnie czasy coraz to więcej i liczniej przechodzą z rąk właścicieli ziemskich, rusinów i polaków, w ręce żydowskie.... Nieszczęście i zguba! lecz potrzeba pieniędzy na wody i za granice, i bale wystawne, i stroje kosztowne: czas i pora (!!) po temu... Moda sprzedaży majątków żydom tak się w przyszłej Galilei rozgościła, że niektóre okolice są już prawie wyludnione z obywatelstwa; do takich, na przykład należy Stanisławowskie, gdzie bezczelna zuchwałość Izraela doszła do tego stopnia, że raz, jeśli wierzyć miejscowej świeżej legendzie, rzekł któryś do zebranej garstki niedobitego szlachectwa obywatelskiego:

— Ny, co wy macie? Pięć kościołów jeszcze? Ny, my wam zapłacimy i za te pięć kościołów, idźcie sobie już; nie macie cziego tu siedzieć *prziez tego-o*, że *ribalizować* z nami nikt nie *witrzyma*, bo *żidêk* na cały kraj *śjini* (słynie)....

Owóż tedy z fatalnego Londres, odświeżywszy się nieco, wyszedłem oglądać miasto; że zaś nie lubię się rozpytywać, zamiast pójść na lewo do Krakowa, poszedłem na prawo na Kazimierz. Jego brudy i żydowsko-niemieckie szyldy rozwścieкliły mię; do kilkunastu z rzędu restauracyi zaszedłem, okazało się, że to były najohydniejsze i najwstrętniejsze szynkownie i *birhalle* (piwiarnie).... Wziąłem fiakra, i on to dopiero zawiózł mię na imponująco piękny rynek krakowski, co wkrótce zatarł pierwsze wrażenia i pierś umaił wspomnieniami.

Rynek krakowski, na którym w danych historycznych epokach stawało 30,000 żołnierza krom narodu, przedstawia kwadrat zabrukowany w desenie z kamieni kolorowych z asfaltowymi chodnikami po bokach. Środek jego zajmują: *Wieża Ratuszowa*, kilka wieków licząca i odrestaurowane dawniej w stylu rococo, wspomniane pod r. 1257 w dokumentach Bolesława Wstydliwego, a zmurowane w roku 1358 przez Kazimierza Wielkiego *Sukiennice*, czyli budynek przeznaczony na sprzedaż sukien, przy którym tenże król fabrykę sukna założył; Sukiennice te, wspaniały zabytek przeszłości, są dziś zupełnie w zaniedbaniu, brudne aż do wstrętu, zajęte przez brudniejsze jeszcze krakowskie przekupki. Rada miasta od lat kilku już zabiera się do ich restauracyi, a dowcipny *Diabeł*, z tego powodu, dla uniknienia kłopotów, doradzał panom radcom oddać je profesorowi Łepkowskiemu do gabinetu archeologicznego (!). W jednym rogu rynku wznosi się piękny ostrołuk kościoła Panny Maryi z najwyższą miejscową wieżą Maryacką, z której o świcie brzmią na trąbach hejnały poranne; a ściany jego stanowią wspaniałe i pyszne mury nowszych i starożytnych pałaców. Ulice Grodzka, Sienna, Floryańska, Sławkowska, Szewcka, św. Anny, Wiślna i parę innych, rozszerzone nieco po pożarze w r. 1850, ale zbyt jeszcze wązkie, poprzecinane innemi nadzwyczaj wązkiemi, ciasnemi, ciemnemi o wysokich kilku piętrowych murach średniowiecznych domów, wiodły z rynku do dawnych murów obronnych, którymi niewielkie to miasto dokoła było opasane; dziś zaś wychodzą na zasadzone na miejscu zwalonych fortecznych murów roskoszne bulwary. Ulica Floryańska zakończa się dotąd jeszcze, jako pamiątką, zachowana pyszną *Bramą Floryańską* z tak zwanym *Kotłem*, gdzie witano wracającego z pod Wiednia Sobieskiego, i z częścią murów, oddanych niedawno przez radę miejską księciu Czartoryskiemu, który ma je restaurować, przerobić i sprowadzić tu znakomite swoje zbiory archeologiczne, bibliotekę z Sieniawy i częścią z Paryża.

Cały więc stary Kraków, zawdzięczając trudom Floryana Straszewskiego, zamiast wałów, baszt i licznych bram, co tak uroczyście, lecz smutno go otaczały, za rządów wolnego miasta, od r. 1822 zaczął się upoetyczniać dokoła zielonemi drzewami i krzewami, formującemi niekiedy coś nakształt dzikich lasków z brzóz i świerków, lub roskoszne kasztanowe aleje, przyznać należy im prawdziwą malowniczość; wieńcem tak pięknym nie pochlubi się żadna inna stara europejska stolica, a wdzięczni krakowianie wybili medal na cześć Floryana Straszewskiego i dziś wznoszą mu pełen miłej prostoty skromny *pomnik*, niedaleko dworca kolei żelaznej, gdzie te bulwary, plantacye, czyli jak je wprost zwykli nazywać krakowianie, *planty*, najwięcej się rozszerzają.

Planty dla krakowianów mają znaczenie takie niemal, jak Ogród Saski dla Warszawy: na nich spędzają oni całe dnie z robótkami w ręku, lub rękami bez roboty, z dziećmi przerozmaitego kalibru, niańkami, mamkami, kołyskami, wózeczkami i t. p.; na nich często ujrzeć można, jak się sprawdza w życiu pewna karykaturka, gdzie to przedstawiono, jak dziecka pilnuje niańka, niańki—bona, bony—facet, a faceta — sam diabeł* chyba; na plantach również odbywają się spacery różnego rodzaju — we dnie i w nocy; a już po za niemi rozszerzają się w około krakowskie przedmieścia,

raczej nowe miasto z każdym rokiem coraz to więcej wzrastające.

Właśnie w pobliżu akademickiego w przeładowanym rococo i copfie kościoła św. Anny i imponującego gotycyzmu, czyli ostrokołu sławnej *Almae Matris Jagelonicae*, tuż po drugiej stronie plantów, w roskosznym ogródku z pięknych dzikich lasków o najrozmaitszych drzewkach i krzakach, pełnym fruktów, jagód i kwiatów wznosi się w stylu szwajcarskim „cacany“ dworek, ozdobiony popiersiami Piastów i Jagiellonów. Aby się co prędzej wyrwać z nikczemnego Londres, począłem szukać pomieszkania; przychylne zaś losy tak sprawiły, żem natrafił właśnie na ów poetyczny dworek, własność poety-archeologa profesora uniwersytetu Dra Józefa Łepkowskiego, do którego miałem nawet pewne literackie polecenie od p. Antoniego Marcinkowskiego (Nowosielskiego) z Kijowa. Szanowny profesor powitał mię najserdeczniej w swojej bibliotece i podprowadził natychmiast do jednej z pułek, na której w poważnem milczeniu wskazał czarno oprawną książkę z napisem: „Co Bóg dał. — Kijów“.... Był to dar zacnego mojego współpracownika, pana A. Grozy, poety ukraińskiego. Przyjemnie mi się zrobiło.... uściskałem rękę przyszłego mojego profesora. Wkrótce potem mały pokoik na piętrze w tymże dworku wynająłem na stałe moje *locum.*

Po środku dziedzińca i lasków angielskich w *zagrodzie* poety-archeologa pysznieje jawor rozgałęziony, stanowiąc nadzwyczaj miłą altanę naturalną, gdzie latem pije się herbata; wszędzie pełno kwiatów; śród gęstej zieloności stoi kształtny mitologiczny Apollo, którego księża ba i bardzo mieli za złe profesorowi, jako wprowadzenie niepraktykowanej dotąd w Krakowie nagiej nowości z listkiem... W głębi małe oficynki dla lokatorów, gdzie mieszkał późniejszy mój przyjaciel, młody, pełen nadziei, znany z swego uczonego dzieła, filozof-tagmonlog Dr. Antoni Zbigniew Molicki; w ogródku fruktowym mała pasieka, pszczółki brzęczą, miód zbierają, a tuż i oranżeryjka w miniaturze, mikroskopijna, że tak nazwę, winnica, i przerozmaite gatunki jabłonek, grusz, moreli. Wystawa krakowska w r. zeszłym zaszczyciła ten ogródek listem pochwalnym, a wszystkiem, co się w nim znajduje, z prawdziwem zamiłowaniem, w chwilach wolnych od naukowych trudów, zajmuje się sam szanowny profesor wraz ze swoim ogrodnikiem; ten zaś mały kawałek ziemi, doprawdy, może służyć godnym naśladowania przykładem dla niejednego z naszych obywateli wiejskich, władców tysięcy włók i dziesięcin bądź bujnej, bądź czczej nawet.... ziemi.

Że krakowianie przy całym swoim krańcowym konserwatyzmie co do przechowania pamiątek tradycyi i niemniej krańcowym powierzchownym wprawdzie fanatyzmie i bigoteryi religijnej, w gruncie charakteru swojego nie odznaczają się wcale rozwojem nerwów sercowych; że krakowianie-polacy, częścią od wieków chociażby z niemców pochodząc, w większej swej części niemniej konserwatywnie przechowali w sobie ducha niemieckiego, niemiecki chłód, egoizm, rachubę, a nawet częścią niemieckie towarzyskie zwyczaje; że krakowianie nie są w ogóle ani szczerzy, ani serdeczni, ani gościnni, lecz przeciwnie, zmateryalizowani i wyrachowani, niekiedy opieszali i ospali; że krakowianie, jeśli wierzyć słowom korespondenta lwowskiego, co tyle był narobił harmideru, niekiedy podobnymi się stają do chińczyków i formują dokoła siebie jakby jakiś nieprzestępny mur chiński, lub mur z arystokracyi i głupstwa, o czem wszystkiem — później; przeto wielu innych krakowianów, stanowiących wyjątki pod względem wszystkiego, cośmy przed chwilą wypowiedzieli, narzekają, cierpieć nie mogą — nie Krakowa i jego mieszkańców, bo swoje miasto i rodaków swoich wszyscy kochają, — ale ich zimna, żydowskiej rachuby i flegmy niemieckiej. d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XXI.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

2. Mniemana suchotnica.

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

Ze zmęczoną, bladą twarzą i bojaźliwem wejrzeniem, jak nieszczęsna grzesznica, cichutko wchodzi do pokoju szczupła, trzydziestoletnia blondynka i oddychając głośno, z przerwami, pada w osłabieniu na krzesło. Łzy towarzyszą wydobywającym się z jej piersi słowom: „Dla moich biednych dzieci pragnęłabym żyć jeszcze choć trochę; pociesz mnie pan; nie odbieraj mi ostatniej nadziei i powiedz otwarcie, kiedy mianowicie powinnam umrzeć?“

Staram się jej wytłómaczyć, że lekarz nie jest w stanie oznaczyć dokładnie terminu śmierci osoby chorej na piersi. A zresztą, gdyby to nawet było w jego mocy, czyliż mógłby okazać się tyle okrutnym, ażedy wyjawić w oczy choremu podobnie smutną prawdę, i pozbawić go razem z tem wszelkiej nadziei wyzdrowienia?

Nasza pacyentka mówi dalej: „Cierpię na piersi i sądząc z tego com słyszała od swych lekarzy oraz widziała w Ems, Salzbrunn i Soden, przeczuwam, że suchoty dosięgły już u mnie bardzo wysokiego stopnia rozwoju. Często kaszlę i od czasu do czasu wypluwam gęstawą ropę; prócz tego, dokucza mi krótki oddech, ból w piersi, bicie serca i gorączka z obfitemi potami po nocach, — słowem, znajduję w sobie wszystkie przypadłości zazwyczaj przypisywane suchotom. Obawa tak wczesnego rozłączenia się z rodziną, nie daje mi spokoju ani w dzień, ani też w nocy; nie mogę ani spać, ani jeść i pić, w skutek czego, naturalnie, czuję się bardzo osłabioną i ostatniemi czasy wielce nawet zmizerniałam i schudłam.“

Kiedyż nareszcie pojmą lekarze, iż wysyłanie cierpiących na piersi do wód, gdzie widzą oni samych tylko suchotników i bezustannie słyszą o ich dolegliwościach, daleko więcej przynosi szkody, aniżeli pożytku, pomijając już to, że woda słona, którą tam piją pacyenci, nie wywiera żadnego szczególnego działania leczniczego na cierpienie płuc. To, co właściwie potrzebnem jest dla osób chorych na piersi, a mianowicie: spokój, czyste i ciepłe powietrze, słońce i mleko, można znaleść i w innem miejscu, bez względu na odwiedzane przez suchotników wody, z których autor najwięcej nie cierpi Salzbrunnu, gdyż biedny pacyent, zamiast spoczywać w ciepłej pościeli, bywa tam prawie o świcie wypędzany na chłodne, szkodliwe dla cierpiących na płuca powietrze poranne, w celu... ażeby pił niewinną wodę mineralną!

Wszystkie, podane wyżej objawy chorobowe, na które skarżyła się nasza pacyentka, nie dowodziły jeszcze obecności w niej niebezpiecznych suchot płucnych, można było wnosić z nich zaledwie o rozstrojeniu przyrządu oddechowego. Objawy rzeczone zdarzać się mogą i przy wielu innych cierpieniach, dotykających płuca tylko chwilowo i w obecnym wypadku mogły być poprostu wynikiem obawy suchot, a nawet prawdopodobnie, i samej kuracyi. Jedynie zbadanie klatki piersiowej za pomocą opukiwania i osłuchiwania, pozwala określić rodzaj choroby płuc. Otóż, po dokładnem zbadaniu naszej chorej, okazało się rozstrojenie, całkiem przeciwne suchotom płucnym: zamiast zmniejszenia (zniszczenia) tkanki płucnej, co zazwyczaj ma miejsce przy suchotach płucnych, było tutaj nieznaczne rozszerzenie pęcherzyków powietrznych (płucnych), z przewlekłym nieżytem (katarem), który, o ile się zdaje, ochrania nawet od suchot płucnych.

Nie należy dziwić się temu, że choroba naszej pacyentki nie została dawniej poznaną. Rozszerzenie pęcherzyków powietrznych i suchoty płucne, dopóki obie te choroby nie dosięgły jeszcze zbyt wielkiego rozwoju, — łatwo mogą być wzięte jedna za drugą, nawet przez bardzo wykształconych lekarzy, a to z powodu, że przy nich, oprócz dość zbliżonych do siebie zjawisk w rozstrojeniu przyrządu oddychania, nawet sam ton, otrzymywany przy opukiwaniu klatki piersiowej, mianowicie pod obojczykiem, bywa tępy (próżny). Tylko pełność dźwięku i wyrazistość mowy wewnątrz szczytów płuc, pozwoli uniknąć podobnego błędu.

Z wielkim mozołem udało mi się nareszcie przekonać pacyentkę o bezzasadności jej obawy. Odzyskawszy spokojność, zgodziła się ona na zarzucenie wszelkiej kuracyi i połykania lekarstw. Spokój, dobre pożywienie i napój, czyste powietrze oraz światło, powróciły jej siły — pozostała jedynie nieznaczna dychawica (astma) i kaszel od czasu do czasu (dolegliwości te nie mogą być usuniętemi, znajdują się one w związku z rozszerzeniem pęcherzyków powietrznych). Była to zaiste, bardzo pomyślna kuracya, a jednak dla osiągnięcia takowej, nie użyto żadnych środków aptecznych.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

III.

Nie możemy się wstrzymać od zwrócenia uwagi mieszkańców prowincyi, na

konieczną naglącą potrzebę urządzenia spółkowych sklepów dla sprzedaży rozmaitych wiktuałów wiejskiego gospodarstwa, które są codzienną potrzebą kuchni. Sklep taki urządzono już jak donosiliśmy w Lublinie, połączonemi siłami obywateli ziemskich. Gdyby sklepy podobne zyskały poparcie i w innych miejscowościach, przyniosłyby nieobliczone korzyści. Dałyby one: mieszkańcom wsi możność natychmiastowego zbywania przywożonych na targi produktów, bez koniecznej przy żydowskim handlu stracie czasu i pieniędzy, a mieszkańcom miast możność nabywania owych bez pośrednictwa przekupniów, co znowu usunęłoby ich wpływ na cenę i jakość sprzedawanych przedmiotów. Dalszą jeszcze korzyścią byłoby zwrócenie się masy żydowskiej przekupniów na inne pole pracy, korzystniejsze i dla nich i dla społeczeństwa. Obowiązkiem prowincyonalnej prasy jest poparcie tak ważnej sprawy; poparcie to, jeżeli będzie wytrwale i rozumnie prowadzone, musi doprowadzić do urzeczywistnienia wskazanego projektu.

* * *

Bodaj to c. k. urządzenia Austryi! co za sprawiedliwość! jakie mądre uwzględnienie interesów każdej prowincyi. Kto nie wierzy, niech się przekona z tego co niżej przytaczamy: Uposażenie wiedeńskiego uniwersytetu wynosi 1,401,300 guldenów. Pragskiego 600,500 guldenów, Gradeckiego 430,000 guldenów, Krakowskiego 196,000, Lwowskiego 157,000 chociaż Galicya jest najludniejszą prowincyą Austryi. Ekstraordynaryum dla uniwersytetu wiedeńskiego wynosi 670,000 guldenów, dla Pragskiego 205,000 guldenów, dla Gradeckiego 193,000, a dla obu galicyjskich 0! Ani słowa, podział wcale niezły.

* * *

Kilka to już razy w ostatnich szczególniej latach Warszawianie dowiedli zagranicznym spekulantom liczącym na staropolską kieszeń i.. ... głupotę, że stare te cnoty zachwiały się trochę w swych podstawach, że błazen jaki sławny lub doktor przywiózłszy z sobą kilkanaście zakładowych grajcarów lub srebrnych groszy, per pedes bez rubli i kopiejek odbywa odwrotną peregrynacyę. Wyjątkiem widać z tego wyjątku są *najsławniejsze* duńskie śpiewaczki, które dbały o dostarczenie przyjemności swych gościom, dostarczył Warszawie właściciel piwnego zakładu w Alhambra.

ZA SZCZĘŚCIEM.

(NOWELLA)

przez

P. Heysego.

(Dalszy ciąg).

— Dla czego jesteś pan tak dobry dla mnie? Podobnej mowy dawno już nie słyszałam, i prawdziwie jestem w kłopocie, co mam panu odpowiedzieć? Powiedziałam już panu, że mi nic już pomódz nie może, a dla czego, długa o tem historya. A w końcu, nie zrozumiałbyś jej. Kiedy jest się szczęśliwym, to trudno pojąć, jak może być życie komu ciężarem. I ja kiedyś byłam szczęśliwa, i nie chciałabym ustąpić jednego dnia z mojego życia, ponieważ sądziłam, że wciąż tak będzie i coraz jeszcze lepiej. Skoro inaczej się stało, kogóż mam o to oskarżać. Jest to jedynie moja własna wina...

Nie, nie, zawołała nagle, na cóżby się to zdało? Musisz pan wstać jutro rano. Poczta odchodzi zaraz po szóstej godzinie. Gdy pan wracać będziesz ze swoją młodą żoną, już tu mnie nie zastaniesz. Nie myśl już pan więcej o mnie. Co komu na tem zależy, jeśli jest więcej lub mniej jeden człowiek na ziemi? Szczęśliwej podróży. Dobra noc.

Poczem nie dawszy mu słowa odrzec szybko wybiegła z pokoju, zostawiając go w dziwnem usposobieuiu, z którego w żaden sposób nie mógł się wydobyć. Otworzył machinalnie kufer i uradował się, że ona wszystko tak porządnie ułożyła. Na samym wierzchu leżał ów jaskrawy, pysznie wyrobiony szal, który mu matka wychwalała jako najkosztowniejszą sztukę z całej wyprawy. Nie znał się on wprawdzie na strojach niewieścich, powątpiewał jednak, aby piękna lubiąca elegancyą panna chciała okryć się tkaniną, która przed czterdziestu laty uważała się za najnowszą i najosobliwszą. Teraz dopiero zauważył, jak wiele rzeczy w jego domu postarzało się, jak wiele zmienić należy w tem do czego serce jego matki przywykło; dobrze jeszcze pamiętał z poprzedniej swojej podróży ową chętkę wyśmiewania i wyszydzania rozpieszczonej dziewczyny, aby mógł rachować na jaką wyrozumiałość z jej strony. Wreszcie pocieszał się jak mógł: jeśli mnie kochać będzie istotnie...

Lecz to jeśli, jakoś trudno było mu wymówić, i im bardziej przywodził sobie na pamięć wszystko to, co między niemi dotąd zaszło, tem bardziej awanturniczą, a nawet niebezpieczną wydała mu się ta podróż na złamanie karku dla pozyskania szczęścia; uważał się za jakiegoś błędnego rycerza, który rusza w świat dla zdobycia skarbów lub porwania księżniczki, o której zdala tylko bajeczne dochodziły go wieści.

Gdy wreszcie światło zgasił i oczy przymknął, dręczyły go owe myśli we śnie. Zdawało mu się, że trzymał w objęciach swoję narzeczoną i czuł przez chwilę szczęście i zadowolenie, tylko dziwnem mu się wydawało, że ona wciąż rozmawiała ze swoją piękną papugą, którą trzymała na ramieniu, zamiast odpowiadać na jego pytania. Co to za kobieta, tam przed chałupą? zapytała nagle. A on ujrzał matkę swoję siedzącą przed domem, i to jeszcze na jego kufrze podróżnym, którego zdawała się bacznie pilnować. Oto przyprowadzam ci córkę, rzekł, i stara matka powstała, aby uściskać oblubieńców. Papuga tymczasem pofrunęła do kufra, krzywym swym dziobem, jak kluczem otworzyła zamek i wyrzucała jednę sztukę po drugiej, a narzeczona śmiać się poczęła i zawołała: Może zagramy komedyą? Tamta staruszka będzie matką cyganów, a ja Precyozą! I śmiała się tak mocno, że jej łzy w oczach stanęły, a papuga również śmiała się z nią w sposób złowieszczy i szyderczy, niby człowiek, a matka nie rzekła i słowa, i skinęła tylko synowi na pożegnanie i wróciła do domu. Gdy zaś chciał za nią pospieszyć, przebiegał próżno pokoje, po których ścigał go z zewnątrz szyderczy śmiech papugi; w ostatnim siedziała Lena przy kołowrotku i rzekła: Nie przeszkadzaj mi, śmiertelna koszula na dziś musi być gotową. I tak w gwałtownej szalonych i strasznych obrazów przemianie przeszła mu noc cała, aż w końcu poranne słońce powitało go w łóżku. Tak go te sny zmęczyły, że odprawił służącego, który przyszedł mu przypomnieć o czasie odejścia poczty. Postanowił jeszcze dziś nie odjeżdżać. Położył się znów na łóżku i w żaden sposób nie mógł się na nic stanowczego zdobyć.

Gdy wreszcie wstał i zachmurzony zjadł śniadanie, błądził umyślnie po korytarzach i przedsionkach domu w nadziei, że spotka się z Leną. Ale ona uporczywie nie ukazywała się. Dopiero w południe, gdy wrócił znużony z bezcelowej włóczęgi po mieście, ukazała się na schodach przeszła koło niego ze spokojnym wzrokiem, nie okazując ani ciekawości, ani szczególniejszej poufałości.

— Jeszczem nie odjechał —rzekłem prawie pomieszany. — No — odrzekła ona — widać, że szczęście może jeszcze jeden dzień poczekać, skoro pańskie serce na to pozwala.

Poczem poszła dalej. W ciągu dnia, wśród kelnerów i służących hotelowych, wydała się mu w swojem skromnem ubraniu jeszcze bardziej pociągająca i wspaniała, lecz także bardziej tajemnicza, niż wczoraj; zatrzymywał się i spoglądał na tę wysmukłą postać, jak znękana schodziła ze schodów i znikała wśród pokojów, ani razu na niego nie zwróciwszy oczu.

Kiedy sobie stał jeszcze, pewien stary, poważny jegomość, którego wczoraj widział przy stole ogólnym i którego zwano panem doktorem powiatowym, wracał z góry od chorego, pozdrowił obcego gościa i na chwilę zatrzymał się przy nim.

— Nie prawdaż — rzekł on — że to piękna osoba i pod każdym względem niezwykła. Znam ten hotel od jakich lat trzydziestu, ale nigdy nie był on w takim porządku, jak od czasu gdy ona w nim służy, chociaż nigdy wielkiej zasługi sobie nie przypisuje. Nie miałbym wcale za złe gospodarzowi, mojemu zacnemu przyjacielowi, gdyby na swoje stare lata zbłaźnił się i z tą dziewczyną ożenił... A i ona nie mogłaby znaleść lepszej opieki. Ale z nią jakoś niebardzo dobrze. A szkoda, szkoda — pomruknął, podając tabakierkę młodzieńcowi.

— I cóż o niej wiadomo? — zapytał tenże.

— Bynajmniej nic złego — odrzekł doktor — ale musiała wiele za sobą zostawić... gdyż teraz.... chociaż po jej postępowaniu poznać tego nie można, coś tam (tu pokazał na głowę) nie wszystko jest jak powinno.

— Jak to — zawołał młodzieniec — pan sądzisz....

— Ależ nic złego, niebezpiecznego; niewinna tylko drobna monomania; jest-to jak mó-

wimy *idée fixe*. Jest tu to samo, co z tasiemcem. Wielu ludzi go ma, chociaż o tem nie wie, i późnej dochodzi starości.

— I jakiż jest przedmiot tego jej przywidzenia?

— Ależ zbyt wiele pan żądasz odemnie — odrzekł stary jegomość, biorąc tabakę zamyślony. — Cała moja dyagnoza pokpiła sprawę nad tem skrytem stworzeniem. Przygody miłosne odgrywają tu zapewne główną rolę, gdyż wiemy, jak się to dzieje. Ale że ona teraz najlepsze partye odrzuca, i woli pozostać w służebnym stanie, to, wierz pan staremu lekarzowi i znawcy ludzi, dowodzi, że tam u góry coś się popsuło, i lękam się, aby smutnego nie miało końca. A szkoda, szkoda!

Rzekłszy to, zażył powtórnie tabaki, dotknął się kapelusza i oddalił grzecznie się skłoniwszy.

Młodzieniec zadumał się głęboko. Powietrze tego domu nagle jakby go dusić zaczęło, wybiegł na wolne powietrze i skierował swoje kroki w stronę mostu, gdzie w nocy oddawał się z upodobaniem marzeniom o swej przyszłości. Dziś przy świetle dziennem wszystko wydało mu się tak trzeźwem, tak zimnem. O nic mu teraz nie szło, jak o rozmówienie się z tajemniczą dziewczyną, która sam nie wiedział jakim sposobem tak dalece go zajęła, jak gdyby wyłącznie dla niej samej całą podróż przedsięwziął. Lecz w ciągu dnia gdy żadna do tego nie wydarzała się sposobność, aby z nią sam na sam pomówić, skierował się wybrzeżem ku wzgórzom, z których w całej wspaniałości mógł oglądać świątynię Walhalli. Upał południowy, kurz i samotna przechadzka nie mogły go rozerwać, stanąwszy nawet na górze, obojętnym pozostał w wysokiej marmurowej halli, i roztargnionem okiem spoglądał na ukazujące się w dali widoki, które go niegdyś tak zachwycały. Usiadł więc sobie na jednym ze stopni wschodowych i zasnął w cieni kolumn, znękany myślami.

Pokrzepiwszy się nieco po ostatniej niespokojnej nocy, zbudził się dopiero o zmierzchu. Powracający do miasta powóz zabrał go, tak iż w samą porę przybył „pod białego koguta“ i zamówił sobie wieczerzę w gościnnej sali na dole, w tej nadziei, że się tam spotka z doktorem, którego radby o coś więcej wypytać. Napróżno jednak wyczekiwał go, za to musiał zabawiać się z gospodarzem, do którego czuł jakąś tajemną niechęć, a przecież nie był-to wcale zły człowiek. Ale że śmiał powziąć myśl zalecania się Lenie, wydało się młodemu gościowi niedarowanem zuchwalstwem. Skończywszy wieczerzę, wnet się pożegnał i powrócił na górę do swojego pokoiku.

Serce mu zabiło mocno, bo właśnie gdy otwierał drzwi, ujrzał przechodzącą Lenę.

— Dobry wieczór — rzekł do niej — czy zawsze tak zajęta?

— Na dziś wszystko porobione — odrzekła.

— Śliczny miałeś pan dziś dzień, gdyż zapewne byłeś na górze w Walhallii.

— Cały dzień myślałem o tobie Leno. Bardzo byłoby mi przyjemnie, gdybyś przez chwilę mogła pogawędzić ze mną. Może obawiasz się pani — dodał gdy mu nie odpowiadała—aby o tem nie gadano, że do mojego przychodzisz pokoju.

Dumnie podniosła głowę.

— Nikogo się nie potrzebuję obawiać, — rzekła — dla mnie mogą sobie mówić, co im się podoba. Idź pan naprzód, zaraz przyjdę.

Jakoż w samej rzeczy po niedługim czasie ujrzał ją wchodzącą. Zapalił już świece i z wielkiem wzruszeniem postąpił ku niej, podając jej rękę. Ona spojrzała nań wzrokiem pytającym.

— Leno — rzekł do niej — miej do mnie zaufanie, chociażby jedynie dla tego, iż serdeczne mam współczucie dla ciebie. Nie podobna mi stąd odjechać, nie dowiedziawszy się coś więcej nad to, iż jesteś nieszczęśliwą. Nie uważaj pani tego za prostą ciekawość. Powiadają, że miłość rodzi się w jednej chwili, gdy przyjaźń wymaga dłuższego czasu i wypróbowania. Jeślibym miał sądzić z szybkości ogarniającego mnie uczucia, to wnosićbym powinien, że to miłość, która mnie tu przytrzymuje. Potem znów zdaje mi się, że tylko los pani mnie obchodzi, a gdy wtedy zwrócę uwagę na siebie, to widzę, że tylko o przyjaźń mi twoję starać się wypada. Podaj mi pani swoję rękę. Widzisz, że ani ciebie ani siebie nie chcę okłamywać.

— Wiem o tem, żeś pan do tego nie zdolny, dla tego też przychodzę do pana; zresztą nie chciałabym abyś sam się zwodził. Jeszcze wczoraj ofiarowałeś mi pan tak serdecznie swoją pomoc. Ale wierz mi pan, że nie podobna mi pomódz. Pocóż mam ci swoje dzieje opowiadać? Ponieważ masz pan dobre serce zasmuciłbyś się tylko, a wszak jesteś narzeczonym, nie powinieneś więc ani jednej godziny marnie strawić, żałując utraconego szczęścia zupełnie obcej ci osoby.

Gdy to mówiła, usiadła przecież na kanapie, jakby się nieco wahała w swojem postanowieniu. On milczał, wpatrując się w nią nieruchomy; sam nie wiedział, dlaczego ta twarz tak go pociągała. Zdało mu się, że nigdy podobnej nie widział, tak skromnej i tak zachwycającej zarazem. Szczególniej oczy, które jakby w daleką przestrzeń patrzały, i piękne, chociaż niezbyt małe, usta na których powaga z tęsknotą się mieniały, tajemniczą siłą przyciągały go do siebie, a gdy potem nagle skierowała swoje piękne oczy na niego, uczuł jak mu się serce podnosi. Wciąż jednak milczał, lękając się powiedzieć coś takiego, coby się jej nie podobało.

— Wiem, co sobie pan myślisz — rzekła naraz — sądzisz pan, iż lękam się wspominać o swojej przeszłości. ponieważ wielkiej dopuściłam się winy. A może i nie jest lepiej, tylko inaczej, niżeli świat zwykł pojmować; ten możeby mnie uniewinnił, niemniej jednak był to grzech, grzech śmiertelny; a wreszcie cóż innego pozostaje jak umrzeć, gdyśmy sami swoje szczęście odrzucili?

Ot lepiej, opowiem panu wszystko; wiem, że nie jesteś takim, jak inni, oddasz mi sprawiedliwość. Trzeba panu wiedzieć, iż urodziłam się w pewnem miasteczku nadreńskiem, w którem przecież moi rodzice nie byli stale osiadłemi, dlatego nie mogłam się dowiedzieć, gdzie mieszkają moi krewni, gdyż ojciec nigdy nie mówił o dawniejszych swych czasach. Później dopiero, gdy umarł, próbowałam jakie takie powziąć wyobrażenie o jego życiu z kilku listów, które zapomniał spalić. Musiał dawniej mieć żonę, lecz ta była mu niewierną. Kiedy liczył przeszło lat czterdzieści, wybuchła wojna przeciwko Napoleonowi; utraciwszy swe szczęście, zaciągnął się do wojska jako prosty żołnierz. Nie miał zresztą wiele do stracenia, był bowiem śpiewakiem i nauczycielem w miejskiej szkole i nie posiadał żadnego majątku. Przebył Ren i widocznie szukał śmierci, w miejsce której znalazł tylko rany, tak iż po wejściu do Paryża, musiał w nim przez kilka tygodni pozostać, aby się z nich wyleczyć. W ciągu tego czasu poznał moją matkę, biedną młodą szwaczkę, ale skromną i nader wesołego humoru. Po całych dniach przy robocie śpiewała stare francuskie piosenki, a mój ojciec stał w oknie na przeciwko i przysłuchiwał się im, zapominając o ranach wojennych i dawniejszych, które daleko mocniej mu dolegały. Cóż mam panu wiele o tem mówić? Dość, że mój ojciec, jako prawie inwalida, wziąwszy dymisyą w stopniu wachtmistrza, powrócił do Niemiec, zabrał z sobą swoją młodą francuską małżonkę, i zadowoleni z siebie podróżowali tu i ówdzie, dopóki im pieniądzy starczyło. Gdy ostatni grosz wydali, a nastąpiło to właśnie w owem nadreńskiem miasteczku, matka wzięła się znowu do szycia, a ojciec postarał się o miejsce strażnika celnego przy rogatkach, które tem łatwiej otrzymał, że miał aż nadto wystarczające ukształcenie i bardzo zaszczytną dymisyę.

Wtedy był zupełnie szczęśliwy, rozpoczął życie na nowo, gdyż kochał matkę z całego serca, chociaż w pierwszych miesiącach pożycia ledwie z nią rozmówić się potrafił. Nieszczególna była jego francuszczyzna, tak samo jak jej niemczyzna. Ale nie myślano o konwersacyi, gdy się szczerze kochano. Często mi ojciec opowiadał, iż jak matka przy oknie pracowała i swoje piosnki śpiewała, to woźnice i podróżni przed rogatkami stawali, a wielcy i mali odsłuchać się ich nie mogli. I całe miasto pokochało młodą mężatkę i najlepszą o niej mieli opinią, chociaż strzelcy piesi i konni często przed jej oknem paradowali.

Przez dwa lata tylko używał swego szczęścia, gdyż je utracił i w ciemnej pochował ziemi. Miałam rok dopiero, niewiele więc pamiętam mojej kochanej matki. Jakby dla zastąpienia jej byłam do niej bardzo podobną, miałam jej imie Magdalena; tak mnie ojciec nazywał i dla tego milsze mi ono, niżeli Lena. Nie tylko twarz odziedziczyłam po matce, lecz także wesołość, upodobanie w śpiewie i miłość ku ojcu. Gdy bowiem przyszłam nieco do rozumu i pojęłam, jak mam dobrego ojca, wtedy przywiązałam się do niego z całym zapałem małego serduszka, wtedy największem było dla mnie szczęściem zostawać przy nim, pamiętać o jego wygodzie i rozweselać mym śpiewem. Ponieważ nie posyłał mnie do szkoły, lecz sam uczył, tak do niego przywykłam, iż mało się nawet wdawałam z dziećmi sąsiadów. Stara służąca uczyła mnie szyć i gotować, a kiedym się tego nauczyła, uprosiłam ojca, że mi powierzył całe nasze drobne gospodarstwo, chociaż wtedy miałam zaledwie lat czternaście. Jakże mi wtedy było błogo, że według popędu serca mogłam mu

służyć i pielęgnować go, co wszakże mi nie przeszkadzało do nauki. Namówiłam go, iż kupiliśmy sobie gramatykę francuską i książki do czytania, wtedy zasiadaliśmy wieczorami i wypowiadali zadania w macierzyńskiej mojej mowie. Przytem uczyłam się w tajemnicy przed ojcem piosnek francuskich i nie śpiewałam innych. Kiedym po raz pierwszy zaśpiewała mu, zbladł jak trup, a potem rzewnemi zalał się łzami, tak iż przestraszona, umilkłam. Wezwał mnie, abym dalej śpiewała, a potem powiedział mi, że łzy ulgę mu sprawiły, że wydało mu się, jakby widział przed sobą moję matkę żywą, taką samą, jak była w Paryżu, gdy siedziała przy okienku na poddaszu, i gdy się w niej na pierwsze wejrzenie pokochał.

Wtedy opowiedział mi po raz pierwszy, jak napisał do niej, naturalnie z wielkim mozołem, list francuski, w którym wyznał swoje dla niej uczucia. List wyprawił przez małego chłopca, a sam w oknie stanąwszy patrzał jak go przyjęła i przeczytała. Przez chwilkę milczała, szyjąc dalej, przyczem twarz jej spoważniała. Potem nagle podniosła głowę i zwróciwszy ją na wpół ku niemu, zaśpiewała piosenkę, która wtedy między Niemcami i Francuzkami krążyła, brzmiała ona:

Que je vous aime,
Przyznać to muszę,
Sans papa, sans mama,
Ach, sama jedna tylko;
Que je vous aime
Przyznać to muszę!

Przytem się roześmiała i skinęła na niego; w godzinę nastąpiło porozumienie, a w dwa tygodnie ślub. Potem upominał mnie, abym była tak dobrą i cnotliwą jak moja matka. Szczególnie często mówił o cnocie i musiałam mu wiele odczytać historyj, w których występowały cnotliwe żony i dziewice. Nie wiedziałam, co przez to rozumieć należało, a pytać się nie chciałam. Zmiarkowałam bowiem, że cnota musi być coś poważnego, a ja byłam tak wesoła i śmiać się i śpiewać wolałam, niżeli zajmować poważnemi myślami.

Później zrozumiałam ja to lepiej, gdy już tak podrosłam, iż młodzi ludzie spoglądali na mnie w oknie, jak to czynili mojej matce, i gdy przechodziłam ulicą, często słyszałam, jak powtarzano za mną, że byłam piękną, a młodzi panowie szeptali, że chętnieby ze mną zapoznać się chcieli. Słuchałam chętnie tego gadania, alem go nigdy nie brała do serca, gdyż nie mogłam sobie wyobrazić, jak można kochać jakiego mężczyznę więcej, niżeli mojego starego, dobrego ojca. Kiedy w niedzielę przygładziłam jego rzadkie siwe włosy i zawiązałam mu krawat na szyi, gdy spojrzałam na tę zacną, kochaną twarz okoloną białym kołnierzykiem od koszuli, nie mogłam się wstrzymać, aby mu się na szyję nie rzucić, nie ucałować i nie wygadywać tysiączne bzdurstwa, że jest najpiękniejszym, najmłodszym z całego miasta, że powinien oszczędzać biedne dziewczęta, aby się w nim nie rozkochały. Wtedy śmiał się i groził mi palcem: jesteś *une tête folle*, Magdaleno—mówił mi—to także po matce w spadku dostała. W takim razie — odrzekłam — nie mogę być złą. I wyglądałam za nim, jak postukując laską szedł zwolna do kościoła, a potem biegłam do komina, aby mu ugotować co lubił najlepiej, i myślałam sobie, że tak ciągle będzie.

Aż tu pewnego razu wszystko się skończyło: pewnej niedzieli przyniesiono go z kościoła. Dostał napadu apoplektycznego; żył jeszcze kilka godzin. Lecz jeszcze w ostatniej chwili, kiedym trzymała jego stygnącą rękę, mówił mi o cnocie, że mi nic innego w spadku nie zostawia jak tylko dobre zasady, i że mi nigdy źle na świecie nie będzie jeśli tylko będę cnotliwą i cześć moję zachowam. Przed samym skonem musiałam mu to zaprzysiądz uroczyście. Gdym to uczyniła, wyjaśniła się jego twarz, westchnął raz jeszcze, i utraciłam go na zawsze.

Miałam już wtedy dwadzieścia jeden lat, byłam zdrowa nieustraszona, do wszelkiej pracy uzdolniona, tak iż pomimo ubóstwa nie troszczyłam się o przyszłość. To też gdy w parę tygodni po pogrzebie, oświadczył mi się pewien zamożny syn obywatelski, odrzuciłam jego propozycyą dla tej jedynie przyczyny, że nie miałam do niego skłonności. Bynajmniej nie obchodziły mnie znaczące potrząsania głową moich sąsiadek, które się o tem dowiedziały. Opłakiwałam mojego dobrego ojca, a tymczasem z dziwnie radośnem biciem serca wybierałam się w świat, który stał przedemną otworem. Na prędce jednak przyjęłam ofiarę starej damy, i udałam się do niej w charakterze pewnego rodzaju panny służebnej albo do towarzystwa. Mieszkała od niedawnego czasu w naszem miasteczku, a mówiono mi o niej, że jest dziwaczką. Alem sobie pomyślała, trzeba z nią spróbować tak jak z innemi. Wnet jednak poznałam jak twardym jest chleb w służbie, gdyż te same obowiązki, które się tak łatwo spełniało względem ojca, ciężyły strasznie, gdy z obcym miało się do czynienia.

Znudziłabym pana, gdyby drobiazgowo opowiedzieć chciała, ile tam znieść musiałam. Nie była to wcale zła kobieta, ale przez cały rok, który u niej wybyłam, nie miałam spokojnej ani jednej godziny. Była ona niegdyś sławną pięknością, nie mogła się zgodzić z tą myślą, że teraz jest brzydką, starą kobietą, która ma tyle grymasów, ile zmarszczek na czole. Ale i to mniejsza, ale co mi było najnieznośniejszem, to iż ciągle musiałam słuchać dziejów jej życia, jej tryumfów i nieszczęść, jakie wyrządziła. A przytem zapominała, że ma przed sobą młodą niedoświadczoną dziewczynę. A jak się zagłębiła w swoich wspomnieniach, częstowała mnie w najlepsze awanturami, które mi twarz krwią zalewały. Łatwo możesz pan wyobrazić sobie, jak odurzająco oddziaływały na mnie wszystkie te historye: gdy nie mogłam, jak dawniej, idąc za wrodzoną mi wesołością naskakać się i naśpiewać, lecz po całych dniach spokojnie siedzieć przy starej; fantazya moja bujała po rozstajnych drogach.

Gdyby nie ta rozmowa, która mnie niekiedy dreszczem przejmowała, nie byłabym w możności dłużej wytrwać bez żadnego towarzystwa. Teraz jeszcze przypominam sobie jak pewnego wieczora, gdy powierzyła mi szczególnie zdradziecki rozdział swych pamiętników, nad którym sama zasnęła, i również siedząc na mojem niższem krzesełku, pogrążyłam się w marzeniu; wtedy wydało mi się, że drzwi nagle się otwierają i wchodzi mój ojciec, zupełnie taki sam, jak niegdyś, kiedy powracał z kościoła do domu: książka z pieśniami pod pachą, kij w ręku, i zacna twarz o ślicznych rumieńcach spoglądała na mnie z białych kołnierzyków, ale tak sztywno i badawczo, żem się śmiertelnie przestraszyła. Wtedy wstrząsnął głową i rzekł: Magdaleno, pamiętaj o tem, coś mi przysięgła, że pozostaniesz cnotliwą. A potem powiedział mi wiersz Szyllera, który zwykł był powtarzać: „Cnota przecież nie jest próżnem marzeniem!“ powiedziawszy to spojrzał na starą tak surowym wzrokiem, iż i ja na nią obejrzałam się. Wtedy wydała mi się tak wstrętną, obrzydliwą i straszną zarazem, iż pojąć nie mogłam, że tak długo tę twarz znosiłam. Lecz gdym znów do ojca się zwróciła, już zniknął, tylko wciąż mi w uszach dźwięczały słowa jego, tak iż przez pół nocy oka zmrużyć nie mogłam.

Zaraz nazajutrz przeczytałam w gazecie, że pewni państwo na wsi szukają pokojowej; nie namyślając się napisałam do nich i bez zwłoki zostałam przyjętą. Nie wymieniam panu nazwiska ani okolicy, ani ludzi. To dla pana rzecz obojętna. Była-to piękna posiadłość ziemska, otoczona lasami i wzgórzami a i Ren płynął niedaleko, za to żadnego większego miasta; lecz za to pełno burgów i zamków po większej części szlacheckich rodzin. Moi państwo żyli na wielką stopę: sam pan, mieszczańskiego pochodzenia, nabył te dobra, lecz niewiele znaczył w domu, gdyż pani z rodu szlacheckiego, była bardzo dumna, i na gwałt chciała naprawić błąd poniżającego ją małżeństwa. To też najchętniej przemieszkiwała na wsi ze swemi dwiema córkami, gdzie żyła daleko swobodniej odwiedzając i przyjmując sąsiadów, niżeli w mieście, nie będąc już przyjmowaną u dworu. Mąż na wszystko przystawał, kochał ją bardzo, była kiedyś niezwykłej piękności. Córki jej również odznaczały się zachwycającą pięknością, o synu zaś, którego przybywszy nie zastałam w domu, ponieważ w tym czasie podróżował, wszyscy, co go znali jednogłośnie utrzymywali, że był najprzystojniejszym mężczyzną. A co większa — mówiła Amelia, jego starsza siostra — że jest prawdziwym szlachcicem. Dziewczyna ta odziedziczyła po mamie usposobienie dumne, gdy młodsza Faniska była podobna do ojca. Jeszcze tygodnia nie wybyłam w tym domu, gdy rzuciła mi się na szyję, całowała i rzekła: Uważaj mnie, Magdaleno, jako swoję przyjaciółkę. Tu niewszyscy mnie pojmują, a mój brat najlepszy z nas wszystkich, nieprędko do domu wróci. Nie uwierzysz, jak czuję się tu samotną. Ale na tobie od razu się poznałam, że masz współczujące serce. Mów do mnie ty, jak będziemy same.

Tego jednak nie czyniłam, pomimo jej wszystkich próśb, alem pokochała serdecznie cichą, rozmarzoną dziewczynę, i dla niej znosiłam niejednę rzecz nieprzyjemną. Matka i panna Amelia ledwie raczyły uważać na moję obecność, jeśli wydawały rozkazy lub co przyganiały w mojej robocie. Za to starej guwernantki pozyskałam serce z powodu, żem trochę umiała po francusku. Byłam tyle rozsądną, żem z tego skorzystała. Podczas lekcyi Faniski takem się zawsze urządzała, żem

z mojem szyciem mogła się przysiąść a tym sposobem uczyłam się tego, co moja młoda pani, a może i więcej jeszcze. Nie uszczęśliwiało mnie to bardzo, lecz o tyle zajmowało żem zapomniała pomyśleć, czy jestem szczęśliwą. A kiedym obejrzała się w około siebie, to zdawało mi się, że mi nie brak niczego. Do kogokolwiek się zbliżyłam, nie zazdrościłam nikomu, że w lepszem jest położeniu. Czasami myślałam o moim ojcu, i o tem, co on mówił o cnocie, że kto ją posiada nie może być nieszczęśliwym. To też byłam w samej rzeczy, musiałam być cnotliwą, jak sobie tego życzył. Lecz szczególniejszego szczęścia, jakieby stąd wypływało, odkryć nie mogłam.

Bywały często w domu liczne zebrania, i moi państwo wyjeżdżali także z odwiedzinami. Żaden z młodych i starszych panów nie zrobił na mnie wrażenia, owszem doznawałam pewnego wstrętu gdy mnie, jakby jaką domową kotkę, prześladowali swojemi zuchwałemi grzecznościami wszędzie, gdzie mnie tylko spotkali. Umiałam zawsze się ich pozbyć. To wszystko utwierdził o mnie w mniemaniu, że cnota nie jest tak rzeczą trudną, i nie pojmowałam, co mój dobry ojciec upatrywał w tem, tak uroczystego.

Śmiejesz się pan z moich dziecinnych myśli, posłuchaj-no dalej. Niedaleko już do końca, w krótkości to opowiem.

Pewnego popołudnia, gdy siedziałam w pokoju mojej panienki i zajmowałam się stroikiem na głowę dla mamy, guwernantka czytała ustęp o Karolu XII. Faniska tłómaczyła zdanie po zdaniu na język angielski.... gdy wtem słyszymy rozlegającą się na dziedzińcu trąbkę pocztową, i w szybkim pędzie zaturkotał powóz pod sklepioną bramą. Gaston! — zawołała Faniska i rzuciła się do okna, potem zbiegła na dół jak jaskółeczka i rozwarła ramiona na uściski brata. Stara guwernantka poszła za nią, zostałam sama na górze i widziałam przez okno, jak smagły panicz wyskoczył lekko z powozu, podniósł moję Faniskę i nie mógł się jej nacałować. Nadeszła później mama z panną Amelią, a za niemi zwolna cała służba. I gdy pierwsza wrzawa ucichła, wszyscy weszli do domu, słyszałam już tylko liczne głosy i biegania na dole w korytarzu, aż wreszcie się wszystko uspokoiło. Ja stałam wciąż przy oknie w tym samym kąciku, i jakoś ciężko zrobiło mi się na sercu. Poznałam, jakie to szczęście uściskać w swych objęciach ukochanego mężczyznę po długiem rozłączeniu, a w szczęściu tem nie miałam żadnego udziału. Wszak byłam tylko pokojową, która czerwony aksamitny stroik miała wygotować na czas oznaczony, zresztą niczego za to nie mogła się domagać, prócz tego aby jej zasługi we właściwym czasie wypłacono. Po raz pierwszy zazdrościłam innym ludziom.

Lekcya angielskiego języka naturalnie na dziś się skończyła, lecz ja zostałam sama z moją robotą. Tylko Faniska zajrzała raz, aby zabrać swoję książkę z rysunkami. W przelocie powiedziała wiele rzeczy o bracie, że stał się jeszcze piękniejszy, a jak jest dobry! Naprzywoził jej mnóstwo ładnych rzeczy i opowiadał tak zabawne historye ze swojej podróży; że mama napisała do ojca, że teraz dopiero będzie wesoło w domu i tym podobne szczegóły. Milczałam na to wszystko, bo i cóż miałam powiedzieć? Ja, com lubiła także wszelką jej radość podzielać.

Daruj pan, że znów tak szeroko się rozwodzę nad tem, co mi w najdrobniejszych szczegółach wciąż stoi przed oczami. Ale kiedym już raz zaczęła, jakże mi przestać? Jeśli panu powiem, żem noc źle spędziła i przemyślałam już o tem, jak stąd także wydalić się, to nie pojmiesz jeszcze, jak mi tęskno było w duszy, jak uczułam się nieszczęśliwą, po raz pierwszy w ciągu jednostajnego spokojnego życia. Trwało to niedługo. Nazajutrz gdy państwo siedzieli przy śniadaniu na jednej sali, musiałam zanieść nadeszłe listy na srebrnym talerzu, jak to mama zaprowadziła. Syn siedział obok matki na sofie, Faniska przy nim na taburecie, trzymając jego rękę na swoich piersiach. Wstydziło mnie to, że mi zabrakło serca spojrzeć na niego bez zmieszania się. Wszakże postrzegłam, jak nagle przerwał mowę i do siostry szeptać zaczął. To nasza Magdalena, przerwała ona na wpół głośno, i dodała coś jeszcze, czegom nie dosłyszała. Czułam jednak, jak mnie ścigał wzrokiem dopóki byłam w pokoju, wyszłam więc, zła sama na siebie, żem się z pomieszania rumieniła.

Wtedy o małom się nie rozpłakała. Duma przyszła mi w pomoc. Postanowiłam sobie mocno wciąż tak samo postępować, jak gdyby nic nie zaszło, i tych oczu ani unikać, ani poszukiwać. Nie byłam też na wielkie pokusy wystawiona. Od owego poranku Gaston zdawał się traktować mnie po pańsku tak samo jak matka i starsza siostra. Rozpoczęły się zabawy, polowania, przejażdżki po wodzie, fajerwerki, a wszędzie nasz panicz był bohaterem, i często słyszałam, gdym siedziała w moim pokoiku, jak jego śmiech dolatywał aż do mojego kącika, i zdałwao mi się, żem nigdy nie słyszała takiego szyderskiego śmiechu. To mnie tak oziębiło i gniewało, że teraz gdziekolwiek go spotkałam, w domu czy w ogrodzie, nie potrzebowałam już spuszczać oczu, lecz spokojnie prawie dumnie witałam go przechodząc koło niego. Odpowiadał mi bardzo uprzejmie, mnie się zdawało, że z pogardą, lecz uważałam dobrze, iż przystawał i oglądał się za mną. Jedno tylko przemawiało za jego honorem, iż, chociaż był „prawdziwym szlachcicem" nie zaszczycał mnie, jak pierwszą lepszą sługę domu dwuznacznemi żartami, i w ciągu czterech tygodni żadnych przymileń nie okazywał.

Wreszcie zaczęto mówić, iż podług życzenia ojca, ma znów odjechać, aby przez rok jeszcze zostawać na uniwersytecie w Jenie, gotując się do zawodu dyplomatycznego. Faniska posmutniała, matka również, chociaż kwestye toaletowe, jak zwykle najwięcej ją zajmowały, sama tylko panna Amelia okazywała się obojętną. Przed niedawnym czasem została zaręczoną z dobrze już podżyłym szlachcicem, i udawała zadumaną kochankę, która tylko o swojem szczęściu myśleć pragnie. W przeddzień wyjazdu, a było to w końcu jesieni, zjechało się całe sąsiedztwo, na nasz zamek, na wielki obiad proszony. Wieczorem wyjrzałam z okna pokoju Faniski, i spostrzegłszy odjeżdżające powozy, dziwnie mi się na sercu zrobiło. Zdawało mi się, iż było to dla mnie jakby zbawienie, że jutro rano znów wszystko powróci do zwykłego spokojnego trybu. Potem znów, gdym wyobraziła sobie dom bez niego, to zdawało mi się, iż w tej nieznośnej samotni nikt nie będzie mógł oddychać, mówić i śmiać się jak dawniej.

Zajęta temi myślami, gdym zamknęła okno i powróciła do pokoju na wpół ciemnego, drzwi się otworzyły i on sam wszedł.

— Czy nie ma tu mojej siostry? — rzekł. I gdy zaledwie skinieniem odpowiedzieć mu mogłam, mówił dalej: — Właściwie też nie jej szukałem, lecz ciebie panno Magdaleno.

— Mnie? — rzekłam zadrżawszy cała. — Tak jest ciebie, panno Magdaleno — powtórzył raz jeszcze. — Masz pani coś przeciwko mnie, zauważyłem to dobrze w ciągu całego czasu. Czym pani jaką przykrość wyrządził? Nie mógłbym odjechać, gdybym tego nie naprawił. Gdy to mówił, zdawało mi się, że sto dzwonów w koło mnie dzwoni, a jednak wyraźnie każdą sylabę słyszałam. On mówił dalej: milczysz, panno Magdaleno, widać, że to musi być coś wielkiego, skoro mi od razu tego nie możesz wypowiedzieć? Wtedy upamiętawszy się, odpowiedziałam mu o ile mogłam spokojnie: Pan nie zrobiłeś mi żadnej przykrości, i jakżeby to być mogło? Można się obrażać tylko wtedy, kiedy się z kim stoi na równi! Wtedy on przysunął się do mnie i ujął mnie za rękę. Magdaleno — rzekł — chciałbym abyś mi pani tak mało sprawiała przykrości jak ja tobie. Ale już tego odmienić nie można, gdy czas tego nie zmienia. Kiedyś lepiej mnie pani poznasz. A teraz żegnam cię pani, pozostań wierną mojej małej Fanisce; wszak prawda, tego nie możesz odmówić. Oniemiałam, łzy nagle z oczu mi trysnęły. Nie mogłam widzieć jego twarzy, słyszałam tylko niewyraźnie jak mówił: Dumna dziewczyno, na te łzy ja nie zasłużyłem. — Potem ręką dotknął moich włosów.... wiesz pan teraz dlaczego wczoraj zadrżałam, gdyś to samo uczynił; ale wtedy było jeszcze inaczej; z jego palców, jakby iskry elektryczne wybiegły i wstrząsnęły całem mojem ciałem, tak iż o krok cofnąć się musiałam. A kiedym oprzytomniała i myśli zebrać mogła, już go nie było w pokoju. d. c. n.

Z ULICY.

II.

Lubię naszę Warszawę zimą, wieczorem. Co za ruch, ile życia. Po ulicach pędzą, ścigają się, mijają, skręcają i zatrzymują setki lotnych sanek i saneczek. Wielkie kryształowe okna wystawnych magazynów, olśniewają was swym przepychem i blaskiem. Na chodnikach snuje się tysiące przechodniów; jedni, porzuciwszy codzienne zajęcia spieszą w ciepłe progi domowego ogniska, drudzy szukają schronienia we wspaniałych i roskosznych lub odstręczających brudem knajpach, ażeby, jak mówią, na dnie kielicha lub kufla odnaleść prawdę,

której napróżno w życiu szukają... Biedni, lub naiwni...... W około hałaśliwy brzęk dzwoneczków i dzwonków, żwawe ruchy i przyspieszone oddechy przechodniów; wszędzie ruch i życie. Kłęby pary, unoszące się po nad spracowanemi figurami koni i ludzi, okrywają cały ten błyszczący obraz przejrzystą jakąś gazą, przez którą tem śmielej przeglądają i nęcą podmalowane wdzięki starej zalotnicy. Zmarznięty śnieg skrzypi pod nogami, a po nad tem wszystkiem lazurowe niebo patrzy na kipiące mrowisko ludzkiej radości i nędzy, swemi szklanemi, gwiazdzistemi oczami, a srebrne potoki księżycowego światła oblewają jakimś spokojem i chłodem ruchliwe te kształty. Odwieczne słońca i księżyce jakby dziwią się, patrząc zimnym bezmyślno-głębokim wzrokiem bramina na wirujący wśród nieskończoności atom, na którym tyle hałasu i wrzawy, i o co, o nic powiedzą filozofowie niemieckiej „bezwiedzy...“ Porzućmy jednak zimne księżyce i filozofujące filozofy i dalejże w ten odmęt, od którego przecież bucha tyle ciepła.... a spieszmy się, bo życie mija szybko, a noc jeszcze prędzej. Puls bije przyspieszonem tętnem, war kipiącej krwi rozlewa się po wszystkich członkach, tylko skrzydeł u nóg nam brakuje, a bylibyśmy tak lotnemi ptakami jak jegomość Merkury. Hej, boć to przecie karnawał.... Wszystko biegnie szalonym pędem w objęcia upajającej roskoszy. Żwawo więc, żwawo. Szafujcie hojnie bogatemi zasobami, któremi was obdarzyła natura. Dalejże, boć przecie Bóg ma więcej jak rozdał, a wasze zasoby... ho, ho — niewyczerpane. Młodość i zapał tryska z waszych oczów, a policzki kwitną takim majowym rumieńcem.... dalej więc a śmiało. Tylko pamiętajcie, że pijąc z szumiącego kielicha można pod pianą i nektarem, znaleść na dnie niekoniecznie smaczne męty.... Męty — to jutro. Alboż to nie wiemy, że wszystko się proklamą kończy, i że pijąc z kielicha przecież nareszcie wychylić go potrzeba. Precz więc z wahaniem. Śmiało, a do dna! Hola, moje chłopcy, nie przeczę; pijcie, ale tylko orzeźwiający i zdrowy napój, a strzeżcie się mętów i trucizny, która tak ponętnie wygląda i tak nieznacznie sączy się do kielicha tryskającego napoju. Ale co z wami gadać, wy nic nie widzicie i o nic nie dbacie. Lećcie więc, a ilu tam z was kark złamie po drodze co was to obchodzi. Możecie się pocieszać tą błogą nadzieją, że dla chorych są szpitale... Hej, cała społeczność po takim karnawale staje się często jednym wielkim szpitalem... I o to jednak nie dbacie. Lećcie więc z Bogiem. Gdyby niebo miało czas i ochotę zajmować się takiemi jak wy atomami, powiedziałbym, że zapłaci wam ono na sądzie ostatecznym, gdy jednak niebo wyjęło was już z pod swej dobroczynnej opieki, zapłaci wam za to historya.

— Hola, hola fejletonisto, wpadasz w jakiś kaznodziejski ton. Czy może myślisz propagować pokutę, napoić nas żółcią zamiast szampanem i w kącie gdzie kazać klepać różaniec?... Hej, nie o to idzie na szatana.. Kto młody, kielichy w dłoni i zdrowie młodości i siły. Z temi hasłami naprzód, a zaprowadzą nas one daleko.... Ton kaznodziejski, mówicie. Któż winien, że tyle zła dokoła, że sfinksowe zagadki ziemskiego bytu pokazują nawet z poza szampańskiej piany swe groźne oblicza i „mieszać przychodzą zarazę do wina.“ Co my winni, że chociaż młodzi mamy jednak stare zmarszczki na czole, że przeszłość tylko myśli zostawiła w spuściźnie. Czyż my winni, że tak trudno nam upić się i zapomnieć. Ha, nie tak łatwo może dopijemy się do mętów, i może niestargane i niezbrudzone siły młodości pozwolą nam dźwignąć ciężki młot pracy w swej dłoni. Niech więc żyje taka młodość, to nasz karnawałowy toast!..

Gdzież jednak zaprowadziły nas te karnawałowe myśli; jesteśmy na placu teatralnym. To dobrze. Salon i teatr—to dwa uprzywilejowane przybytki zimowej zabawy i nie bagatelnych zapasów. One to żyją całą pełnią swego życia w mroźne otulone okowy; w mroźne.... a od czegóż zarzący węgiel, od czego białe płomienie gazu i nasza krew gorąca... Teatr więc żyje; bogdajby tylko to życie naturalnem i szerokiem płynęło korytem, bogdajby szychowe obsłonki nie pokrywały błyszczącego próchna, bogdajby nie wiało od tej świątyni zgnilizną i oby życie znalazło tu sobie żywe, gorące odbicie.

Ale otóż i teatr. Jak olbrzym usadowił się na szerokim placu i zaciekawia was swym milczącym ogromem, wabiąc niewypowiedzianym czarem swych tajemnic. Dalekośmy zajechali. Od jarmarcznej budy i bladych mysteryj do takiego gmachu; to daleko, daleko. A wewnątrz; wnętrze winno odpowiadać zewnętrznemu wyglądowi; niedarmo bowiem istnieje przysłowie: jak cię widzą tak cię piszą. I tak jest rzeczywiście. W miarę jak wzrastała ta wielka budowa, olbrzymiała także i kształtowała się jej treść.

Pierwotni widzowie szopek, żyjący przeważnie rozbujałą wyobraźnią i gorącemi namiętnościami, umieli tylko albo upijać się szalonym śmiechem, lub płakać gorącemi łzami. Życie więc podzielono na dwie połowy: nad jedną zawieszono błazeńską larwę jarmarczną, a nad drugą rozpościerał swe skrzydła złośliwy szatan lub mściwy Jehowa. Z tych pierwotnych usposobień i upodobań wywinęła się komedya i tragedya. W miarę jednak jak uczyliśmy się coraz głębiej wpatrywać w człowieka i okoliczności wśród których obracało się jego życie, przestały się tak wyraźnie i krańcowo zarysowywać kontury dramatycznej twórczości. Wiele rzeczy, na które dawniej niepatrzono inaczej jak tylko ze śmiechem, inne w nas wywołują uczucia: do szumiącej czary śmiechu mieszają się nieraz krople łez gorzkich; jeśli gryziemy co—to „gryziemy serem;“ a z drugiej strony jeden krok tylko dzieli wzniosłość od śmieszności, powiadają Francuzi. Staliśmy się sceptykami. To co przejmowało niegdyś grozą oburzenia lub hymnem uwielbienia, wywołuje ironiczny uśmiech na nasze usta. Poznaliśmy odwrotną stronę medalu i poznawszy obie przychodzimy do tego przekonania, że pokazywano nam dwa jednakowe medale życia, tylko, że jeden z nich widzieliśmy z prawej a drugi z lewej strony. Objawy życia nie klasyfikują się powierzchownie. Które postawić po lewicy a które po prawicy, nie łatwo to zadanie. Uzbrojeni bystrzejszym wzrokiem zobaczymy nieraz lepsze i kochające serce pod płaszczem zbrodniarza, gdy tymczasem nie znajdziemy go pod szychową obsłoną fałszywego poczciwca. Nie wszystko złoto co się świeci, a szyld jest często tylko reklamą.

W obec takich wyobrażeń zacierają się charakterystyczne rysy dawnej komedyi i tragedyi, a objawy życiowe, które były ich treścią stapiają się w jeden tajemniczy *dramat* życiowy, świadome odtworzenie którego staje się wdzięcznem zadaniem artystyczno-dramatycznej twórczości. Dawne formy w tych szekspirowskich utworach stapiały się i stapiają w jeden wielki obraz, w którym to co nazywano komedyą, poważne nie rzadko w nas obudza dumania, a z tego co było tragedyą śmiać się mamy ochotę...

— Oto, gdzie was zaprowadził zgubny sceptycyzm, powiedzą nam może. Oto gdzieście zaszli. Nic dla was świętego, nic nie poszanujecie, podeptaliście wszystko, nie macie ideałów, niczem dla was cnota, moralność, niczem nawet przepisy kodeksu karnego, jesteście nihiliści i nicość jedynem waszom hasłem.

Hola, panowie. Za daleko zapędził was krytyczny ferwor. Wart doprawdy lepszej sprawy świętobliwy zapał, z jakim rzucacie wasze gromy potępienia.

I my mamy swoje ideały, chociaż nie okrywają się one szatą dogmatu. Lepiej tylko znamy życie i jego tajemnicze sprężyny, patrzymy głębiej i widzimy nieraz to czego wyście nie spostrzegali lub w innych widzieli kolorach, i oto w czem leży nasz nihilizm. Pozostajemy zawsze czcicielami najpiękniejszych stron natury ludzkiej i pracownikami na niwie ludzkiego szczęścia, chociaż nieraz uniewinniamy to coście winą nazywali, a obwiniamy to co dla was było niewinnością. Winni, niewinni; to zresztą tylko wytarte liczmany, lub szyldy i godła, które często zawieszacie nie tam gdzie wisieć powinny i dla tego zrzucamy je nieraz, sprowadzając wszystkich tych winowajców do jednego wspólnego mianownika, w którym figuruje już tylko jedna ilość, człowiek. Wieleśmy poznali i wiele nauczyliśmy się przebaczać, jakkolwiek niech wam się nie zdaje, że wychodząc z tej zasady będziemy obojętnie tolerować wszelką winę w życiu, a od dramatu zażądamy tylko drobiazgowego przedstawienia scen drastycznych. Mylicie się bardzo. Mamy i my swoję miarkę, a jest nią pomyślność jednostki i ogółu. Szczęście, tlejące, czy to u drobnego ogniska, czy to na szerokich niwach zbiorowego życia, oto nasze hasła i hasła tych, co chcą tworzyć rzeczywiste i pełnej wartości dramaty... Ale rzucaj ty groch na ścianę; pop swoje, czort swoje... Szanujemy pewną naturalną prawidłowość i stopniowanie w rozwoju. Przyznajemy, że nie wszystko, co jest zrozumiałe dla ludzi dojrzałych i rozwiniętych, pozostanie równie jasnem dla dzieci i ludu. Bynajmniej: dziecko i lud, obracający się w niezbyt rozgałęzionych i powikłanych potrzebach, żyjący prościej, nie potrzebuje zapuszczać głęboko sądą w treść niezrozumiałych dla niego objawów. Lud wymaga silnych wrażeń, jaskrawego kolorytu, kontrastów nagłych i bijących w oczy i takie mu dajcie. Przecież dziecku nie dacie odrazu filozoficznej książki do czytania, a zacznie-

cie od elementarza. Są jednak dzieci, a są i dorośli, którzy żyją całą pełnią naszego powikłanego życia i którzy to życie powinniby zrozumieć w całej jego rzeczywistej nagości, poznać wszystkie kręte ścieżki, po których ono nas prowadzi i cel ostateczny, do którego wiodą go one. Sztuka, opromieniając jasnym światłem prawdy te tajniki i obudzając żywe sympatye i antypatye, ma przed sobą wielkie i poważne zadanie.... Powiecie może nareszcie że zadanie to przewyższa jej siły.... A czyż nie wiecie o tem, że sztuka w ogóle a dramatyczna w szczególe jest tylko jednem ogniwem w rozległym podziale pracy, który życiem umysłowem nazywamy, że tam, gdzie się kończy zadanie sztuki zaczyna właściwe pole dla krytyki, i że oba te działy spółczesnej pracy tylko wzajemnie się dopełniając całą piersią oddychać i rozwijać się mogą, o tem winniście pamiętać....

Hola, w karnawał zatapiać się w tak głębokie refleksye — to zgroza. Z szalonego zgiełku i gwaru ulicy wpadać na tor takich rozmyślań — to nie do darowania... Ha, komu wola, niech się szałem karnawałowym upija, my i pośród tej hulaszczej zabawy pijemy zdrowie tych, co zarówno przy pracy jak i zabawie nie zapominają o tem, że osobnik zwany homo jest okrąglutkiem zerem, gdy bez myśli żyje. *E. P.*

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

Nowe powiastki z prawdziwych zdarzeń i bajki, skreślone wierszem dla dzieci i ozdobione drzeworytem przez Maryę M. Warszawa, 1876, 8-ka mała, str. 65, cena kop. 36 w oprawie.

Są to niedołężne bardzo płody i dziatwa nasza niewiele z nich odnieść zdoła pożytku moralnego. Treść dosyć jednostajna i bezbarwna zawiera w sobie wyłącznie prawie jeden czynnik etyczno-pedagogiczny. Dobre dzieci otrzymują nagrodę, a złe karę. Kara ta i nagroda przedstawia się w formie konsekwencyi materyalnej po większej części natury. Gdzieniegdzie zastępuje ją prosty morał. Innych, podnioślejszych czynników moralnych nie napotykamy tu zupełnie prawie. Cnota nie występuje tu w nęcącej szacie piękna, a występek w brudnych łachmanach nicości, lecz obie w formie przyczyn, sprowadzających nieodwołalnie dobre lub złe, korzystne lub niekorzystne, przyjemne lub przykre skutki. Szczególniej rażącym jest wierszyk p. t. „Wyśmiewająca się Stefcia,“ z którego dziecko może wyprowadzić tę tylko konsekwencyą, że nie trzeba naśmiewać się z ułomnej i biednej ciotki, gdyż później może się ona stać bogatą i nic nam nie zapisać w testamencie. W drugim znowu wierszyku p. t. „Cierpliwa Madzia,“ jedna dziewczynka w nagrodę cierpliwości przy pracy, otrzymuje od wuja „białą suknię muślinową,“ gdy tymczasem druga, nie posiadająca tej cnoty, tylko „czarną perkalową.“ Kilka zaledwie utworów odznacza się podnioślejszą tendencyą etyczną. Najlepszym jest wiersz p. t. „Nierozważny Antoś,“ gdzie smutna a silnie dramatyczna konsekwencya nierozwagi, może skłonić młode duszyczki do unikania tej wady. Bajki są udatniejsze nieco pod względem treści, chociaż grzeszą zbytnią jednostajnością tematów. Połowa ich zawiera w różnej formie przedstawioną myśl o stosunku zwodniczych blasków zewnętrznych do wewnętrznej wartości pewnej osoby lub przedmiotu. W innych myśl przewodnia jest gdzieniegdzie niejasną.

Forma artystyczna tych utworów niezrównanie słabszą jest jeszcze od treści. Nie ma tu nietylko iskierki ciepła i poezyi, ale nawet najprostszych warunków formy wierszowanej. Okropne niedołęztwo na każdym widnieje tu kroku. Pojedyńcze ustępy niedołężne, grzeszą niekiedy nawet brakiem jasności i logiczności wyrażenia. Jako przykłady wad wyżej wskazanych, zacytujemy następujące ustępy:

„Mały wykręt nic nie znaczy,
Choć kto pozna, to wybaczy.
W ważnych rzeczach mieć na względzie
I rzetelnym w nich być wszędzie.“

(co za logiczne powiązanie myśli)
albo:

„Przed świętym Janem mu opowiadają
Dla utwierdzenia bajeczkę czytają“ i t. p.

Fatalniejszą jeszcze wadą są olbrzymie błędy gramatyczne, do których uciekała się niekiedy autorka przy mozolnej pracy nad częstochowskiemi rymami. Nie waha się ona używać takich form, jak „porównuje,“ „wykonuje,“ „stworzeniowi,“ „podziwione.“ Nie braknie też tu wyrazów cudzoziemskich, dla dziatwy niezrozumiałych, a mogących być zastąpionemi przez odpowiednie swojskie wyrazy, jak np. „dekoncertować,“ „deliberowyć,“ „delikwent,“ „obserwacya,“ „deliberacya.“

Słowem wierszyki p. Maryi M. są słabe pod względem treści a nędzne pod względem formy artystycznej. *A. Pilecki.*

Eli Makower, powieść w dwóch tomach przez E. Orzeszkową. Warszawa, 1876, 8-ka. str. 295 i 381,

Utwór ten jest niepospolitem na polu belletrystycznego piśmiennictwa naszego zjawiskiem, Szeroka i podniosła tendencya, artyzm niezrównany, głęboka znajomość duszy ludzkiej i wiele innych, cennych nader przymiotów, składa się na utworzenie mistrzowskiego prawie arcydzieła. Z najprostszego materyału rzeczywistości tworzy autorka tyle głębokich, wzruszających a prawdziwych obrazów, że na długo niezatarty ślad wrażeń w duszy czytelnika zostawia. Najpiękniejsza poezya brata się tu ze zdrowym, jasnym na świat poglądem.

Treścią utworu pani Orzeszkowej jest kwestya, nader ważna i żywotna kwestya, o której tyle już pisano, często w sposób niepraktyczny i bezowocny. Staje oto przed nami główny bohater utworu, przedstawiciel plemienia, które wspólna ziemia z nami zbratała, ale wzajemna niechęć na wrogiem postawiła stanowisku. Eli Makower, to żyd krwią i ciałem, to żywe uosobienie wszystkiego, co opromienia lub zaciemnia stronę potomków tułaczego narodu. Autorka stanęła tu na gruncie czysto obserwacyjnym i objektywnym. Na przymioty duchowe i czyny bohatera swego zapatruje się z punktu bezstronnej analizy psychicznej i widzi w nich zjawiska naturalne, których przyczyny tkwią głęboko w dziejach i organizacyi społecznej. Do walki z podstawową klasą społeczną powołuje go nie złowrogie widmo nienawiści plemiennej i kastowej, ale prosty antagonizm interesów materyalnych. Przypatrzmy się bliżej tej postaci. Eli Makower posiada wiele dobrych przymiotów; w stosunkach ze swoimi jest najzacniejszym człowiekiem: sercem i chlebem gotów się z każdym podzielić. Szczodrą dłonią wspiera współbraci, którzy otaczają go nawzajem czcią i miłością. Lecz w stosunkach z chrześcijanami inny zupełnie to człowiek. Z zimną obojętnością, bez nienawiści ale nieubłaganie rozpościera sieci niegodnej intrygi, aby strącić nieszczęśliwe a słabe ofiary na dno przepaści. Raz tylko zawahał się na chwilę. Dusza jego olśniona szlachetnością człowieka, który postanowił do ostatka potęgą nieugiętej woli i pracy bronić swej ojcowizny, poczuła jakąś iskrę uczuć nieznanych, zachwiała się w walce psychicznej, ale wnet wróciła do poprzedniej równowagi. Wkrótce zabłysło w duszy jego światło odrodzenia. Stary ojciec, Judel, postać wzniosła, niebiańska, opromieniona blaskiem wzniosłych uczuć humanitarnych, głosi przed zdumionym synem wielką ideę miłości bratniej.

Widzimy więc, że prąd odrodzenia wypływa tu ze starego pokolenia, a raczej z idei abstrakcyjnej, która jednakże wyraża się w formie nader pięknej pod względem artystycznym. Nie zmienia to jednakże pragnień naszych ze stanowiska idealnego. Szkoda, że autorka, która oparła się tak silnie na gruncie realnym, nie została na nim i nie wskazała rzeczywistych dróg odrodzenia.

W każdym razie stawia tu pani O. piękne życzenia na przyszłość, które wygłasza bohater powieści. Oto słowa jego: „Mnie się zdaje, że dobrzeby było, gdybyśmy tem, co mamy jedni z drugiemi dzielili się, gdyby panowie od nas nauczyli się być przewidującymi, obrotnymi i wytrwałymi, a nas uczyli, co to jest prawdziwy honor i prawdziwa edukacya.“ Świetne to rozwiązanie kwestyi poprawia znacznie niewykończenie realne tendencyi.

Brak czasu nie pozwala nam rozpatrzeć całej galeryi świetnych typów chrześcijańskich, jakie z głęboką subtelnością i charakterystyką psychiczną kreśli nam autorka. Jest to różnorodne grona istot słabych, które nie mógą się ostać w obec zmienionych warunków społecznych. Eli Makower przyśpiesza tylko ich upadek. Najdosadniejsze są postacie Ręczycowej i jej syna. Bezmyślna wegetacya, nieoględność na jutro i brak praktycznej znajomości życia, oto główne ich cechy duchowe. Mamy tu także i dwie postacie dodatnie; Mieczysława Orchowskiego z żoną. Potęgą pracy pragną oni ocalić ojcowiznę; szlachetne myśli i uczucia ożywiają ich w walce. Typy te jednakże, jak to zwykle bywa, mniej dosadnie niż ujemnie, a bardziej ogólnikowo są skreślone.

Niezupełną harmonią budowy całości wynagradza całkowicie nieporównany artyzm w pojedyńczych częściach. Dyalogi świetne,

język nieporównany i w ogóle wszystko, co podnosi utwór na wyżyny prawdziwej sztuki, zaleca wyborną powieść pani Orzeszkowej.

A. P.

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— Gazety francuskie opisują straszny wypadek, jaki się zdarzył niedawno w Paryżu. Pewien spekulant powziął myśl okazywać publiczności „karła, pogromcę zwierząt.“ Karzeł ten, był to jego ośmioletni krewniak, bardzo mały i szczupły. Zwierzęta zaś wyobrażały koty pomalowane jako tygrysy i rysie. Dzieciak zamykał się z niemi w wielkiej klatce i miał je bić szpicrutą, jako istotny pogromca. Lecz w tych dniach, podczas repetycyi, koty rzuciły się na niego i rozszarpały go. Nowy Barnum został aresztowany i oddany pod sąd. W Paryżu, takie ogromne eksploatowanie dzieci jest rzadkiem, lecz w Anglii i Hiszpanii stanowi ono osobne rzemiosło, o którem można opowiadać straszne rzeczy. Przed kilku laty w Londynie istniała cała fabryka dzieci fenomenalnych, zostająca pod kierunkiem doktora Harpera: W fabryce tej pokradzione rodzicom dzieci małoletnie, szpecono czyli kaleczono sposobem mechanicznym. Policya długo nie mogła wykryć złoczyńców, lecz nareszcie wyśledzono tę rzecz i winni ponieśli karę zasłużoną. Zresztą trudno ręczyć za to, czy fabryka nie została przeniesiona w inne miejsce i nie prowadzi dotychczas swej czynności. Aby dać pojęcie o tem co robiła z nieszczęśliwymi męczennikami, dość powiedzieć, że na całe miesiące przywiązywano im na nogi blaty żelazne, pomiędzy któremi noga była ściskaną i stawała się tak cienką, że mogła swym widokiem poruszyć żal nawet zakamieniałego serca. Harper potrafił także krzywić karki. Za pośrednictwem szczególnego mechanizmu, jego własnego wynalazku, głowa dziecka stawała się w ciągu 15 tygodni zwichniętą na bok i potem już na wieki pozostawała w tem położeniu. Z zadziwiającą sztuką i prawie nigdy nie zabijając swego pacyenta, Harper przełamywał mu w kilku miejscach kości ręki i robił z niej narość, która na zawsze zapewniała istnienie małego kaleki i jego przewodnika. Lecz było coś jeszcze straszniejszego, sztuczne wyrabianie bliźniąt siamskich. Brano dwoje dzieci, wycinano każdemu na grzbiecie lub z boku kawałek mięsa i łączono te kawałki, które zwolna zrastały się. Kiedy ta sztuka powiodła się, wtedy właściciel takiego fenomenu mógł się uważać za człowieka bogatego. Harper brał drogo za taki towar. Potrafił on także robić ludzi z mysiemi ogonkami. W tym celu świeżo odcięte u myszy ogony, przystosowywano czyli szczepiono w twarzy subjekta i prawie zawsze przyjmowały się. Nie będziemy już mówili o tatuowaniu, zwichnięciach, o spłaszczonych nosach i t. p. Przed 30-tu laty, kiedy rzemiosło to szczególniej kwitnęło, w Londynie przepadało nadzwyczajne mnóstwo dzieci. W liczbie zaginionych był nawet syn pewnego lorda (Hatby); temu nieszczęśliwemu dziecku skrzywiono kark. Ustanowione były nawet ceny na dzieci fenomenalne. Para bliźniąt siamskich kosztowała 150 funt. sterl., garbaty karzeł 100 funt., karzeł z karlicą 175 funt., krzywoszyjni 60 funt., ogonki mysie 60 funt. Ciekawszem nad wszystko jest to, że Harper, obrobiwszy swych subjektów w sposób należyty, dawał im dobre wychowanie, uczył pisać, biblii, tańców, oraz pierwszych prawideł gramatyki angielskiej i francuskiej. Złoczyńca ten uniknął ręki sprawiedliwości; uciekł on do Hiszpanii, lecz został tam zarżnięty przez swych towarzyszów.

— Gabinet botaniczny uniwersytetu warszawskiego znajduje się obecnie pod zawiadywaniem profesora zwyczajnego, p. Aleksandrowicza. Z początkiem 187⁴/₅ roku akademickiego gabinet ten posiadał 5,830 przedmiotów wartości 8,186 rs. 87½ kop. W ciągu tego roku oddano z gabinetu botanicznego do laboratoryum botanicznego 791 przedmiotów wartości 1,638 rs. 34½ kop. Z końcem przeto ubiegłego roku akademickiego znajdowało się w gabinecie botanicznym 5,039 przedmiotów, wartości 6,550 rs. 50 kop.

W ciągu ubiegłego roku akademickiego, studenci 2-go, 3-go i 4-go kursu wydziału nauk przyrodniczych na fakultecie fizyko-matematycznym, zatrudniani byli w gabinecie botanicznym, po dwa razy na tydzień, pod kierunkiem profesora zwyczajnego, p. Aleksandrowicza, rozpoznaniem kształtów roślin za pomocą zielników i rysunków, jak również deficycyą roślin.

— Najstarszym z dzienników wychodzących obecnie na świecie, jest organ rządu chińskiego, gazeta pekińska państwowa, czyli właściwe „Wiadomości z stolicy Chin.“ Sprawdzono niedawno, że dziennik ten wychodzi od roku 741, a zatem lat 1135. Kilkadziesiąt egzemplarzy sędziwego dziennika dochodzi do Europy.

— Zmarły niedawno brat Khediva egipskiego Mustafa-Fazyl-pasza napisał przed śmiercią do sułtana list, w którym dotknął najżywotniejszych dla Turcyi kwestyj. Książe ten był zawsze czynnym obrońcą postępu i reform liberalnych i pozostał takim do końca, mimo cierpień, jakim uległ przy schyłku życia. Katastrofa finansowa w Turcyi i powstanie prowincyj słowiańskich przejęły go silną obawą o los państwa otomańskiego i w tem usposobieniu ducha napisał swój list, który krąży teraz po rękach w Konstantynopolu.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP. *M. J.* w Pernarowie. — *M. Swid.* w Słonimie. — *A. Turkiewicz* w Szpanowie.— *W. B. Leśniewski* w Słucku. — *W. Szczepowski* w Saratowie. — *W. F. Wołłodkowa* p. Szawle: Dalsze tomiki „Wychowania Domowego“ w miarę wyjścia z druku, natychmiast będą przesyłane.

P. *Galiński* w Kolnie. Rs. 2 przesłano księgarni A. Kowalskiego na metodę francuzką, pisma zaprenumerowano, Nr. 50 z r. z. powtórnie wysłano.

P. *J. Bądz.* w Maćkielew... Tom 8 „Wychowania Domowego“ wkrótce wysłany zostanie. Z wydawnictwa Jeskiego dotąd wydano 8 dziełek, należy przysłać rs. 6 kop. 20.

P. *A. Bielski* w Tykocinie. Rs. 2 kop. 50 prenumeraty na I-sze półrocze odebrano, należy jeszcze dopłacić rs. 1 kop. 50.

P. *Math...* w Klement. Do prenumeraty za kwartał I należy nam dopłata w ilości rs. 1.

Żmudzinowi z pod Biruty. Za najlepsze podręczniki elementarnej geografii i matematyki, są dotąd uważane i uznane Jeskiego. Co zaś do podręczników historyi powszechnej, to obszerniej o nich mówiliśmy w „Opiekunie“ przy końcu r. z., tam więc informacyi zasięgnąć należy.

Wszystkim PP. Prenumeratorom łącznie z N-rem 51, jako dodatek bezpłatny przesłano dzieło: Praca kobiet w XIX wieku.

Autorowie i nakładcy którzy życzyć sobie będą iżby o ich pracach lub wydaniach wzmiankowano w „Opiekunie Domowym,“ raczą nadsyłać do Redakcyi egzemplarz dzieła wydanego. Oceny każdej nadesłanej nowości, w jak najkrótszym czasie pomieszczane będą w piśmie naszem.

Дозволено Цензурою. Варшава 7 (19) Января 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski.

Redaktor Henryk Perzyński.